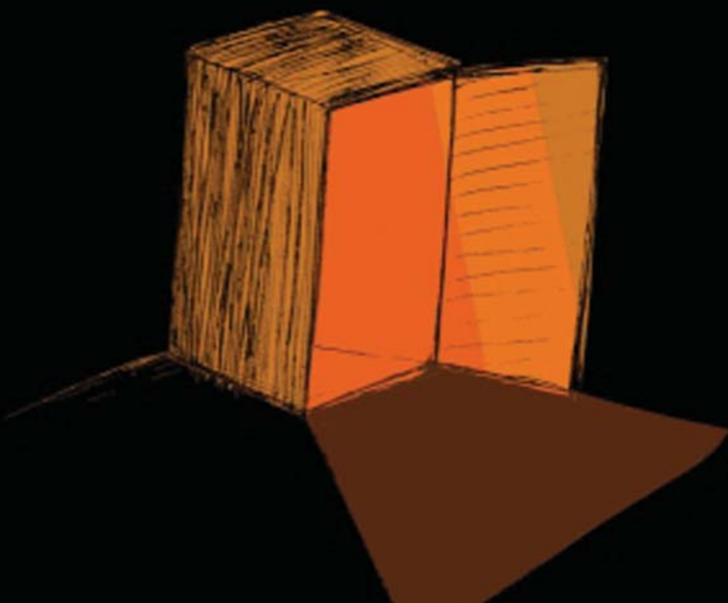
Xavier de Maistre

Nocna wyprawa dookoła mojego pokoju



FORMICULA

NOCNA WYPRAWA DOOKOŁA MOJEGO POKOJU

Xavier de Maistre

NOCNA WYPRAWA DOOKOŁA MOJEGO POKOJU

przekład z języka francuskiego i opracowanie

Kazimierz Mrówka

Kraków 2015

Tytuł oryginału: *Expédition nocturne autour de ma chambre*

ISBN 978-83-941282-3-4

Łamanie Józef Paluch

Projekt okładki Norbert Trzeciak
www.norberttrzeciak.com

Redakcja Kazimierz Mrówka

Wydawnictwo Formicula
ul. Na Kozłówce 23a
30-664 Kraków

www.formicula.pl
e-mail: wydawnictwo@formicula.pl

Drukarnia GS Sp. z o.o.
ul. Zabłocie 43
30-701 Kraków
www.drukarniags.com

Jasiowi,
aby sięgał gwiazd

PRZEDMOWA

1. *Nocna wyprawa dookoła mojego pokoju*

Nocna wyprawa dookoła mojego pokoju (*Expédition nocturne autour de ma chambre*, Sankt Petersburg 1825) jest kontynuacją powieści pt. *Podróż dookoła mojego pokoju* (*Voyage autour de ma chambre*, Lozanna 1795). Dlatego lekturę drugiej części warto poprzedzić pierwszą. Pozwoli to zrozumieć w pełni treść *Nocnej wyprawy*, a zwłaszcza pierwsze rozdziały powieści, które odnoszą się bezpośrednio do historii przygód bohatera uwięzionego w twierdzy Turynu[1].

Pomysł napisania *Podróży* narodził się u de Maistre'a spontanicznie. Stało się to w następstwie wyroku za jego udział w pojedynku z oficerem piemonckim Patono de Meïranem. Zamknięty na czterdzieści dwa dni w areszcie domowym umilał sobie czas podróżowaniem wewnętrznym i spisywaniem wrażeń. Pobyt w więzieniu w połączeniu z niespodziewanym sukcesem powieści, wielokrotnie wznawianej i wydawanej w Europie, stworzył Xaviera de Maistre'a jako pisarza. W chwili wydania *Podróży* Sabaudczyk miał 32 lata. Nic więc dziwnego, że na fali sukcesu postanowił kontynuować swe dzieło i przystąpił do pracy nad *Nocną wyprawą.* Entuzjazm Xaviera zgasił jednak jego starszy brat Józef. Ten sam, który wcześniej

[1] Sylwetkę pisarza oraz ideę podróżowania według Xaviera de Maistre'a przedstawiłem szerzej we wstępie do polskiego wydania pierwszej części powieści. Zob. *Filozofia podróży Xaviera de Maistre'a*, w: *Podróż dookoła mojego pokoju*, Kraków 2014, s. 7–23. W tym miejscu pomijam uwagi autobiograficzne i faktograficzne związane z genezą powieści.

wysoko ocenił wartość *Podróży* i postarał się osobiście, aby powieść została wydana. Józef uznał, że pisanie drugiej części mija się z celem, bo drugie części są zawsze gorsze od pierwszych. Doradził więc młodszemu bratu, aby ten znalazł nowy pomysł na powieść[2]. Xavier liczył się ze zdaniem swego mentora, ale idea kontynuacji *Podróży* nie opuszczała go. Chodziło mu, z jednej strony, o kucie gorącego żelaza i chęć utrzymania się na fali popularności, z drugiej zaś o wewnętrzną potrzebę dopełnienia całości opowieści. *Podróż* odbyła się w dzień, natomiast na *Nocną wyprawę* autor wyruszył o zmroku. Niczym heglowska sowa Minerwy[3], której czas wylotu dojrzewa długo. Druga część powieści miała więc domykać podróż dookoła czasu, w całodobowym cyklu dnia i nocy. Jednocześnie miała być bardziej refleksyjna i podejmować fundamentalne tematy, takie jak miłość, sens życia, ojczyzna, czas i przemijanie.

Obie książki są relacjami z podróży wewnętrznej. Pierwszą przenika niepokój wywołany przyczynami zewnętrznymi, przede wszystkim terrorem Rewolucji Francuskiej oraz inwazją wojsk francuskich na Sabaudię — ojczyznę de Maistre'a. Druga przepełniona jest wewnętrznym mrokiem, co jest odbiciem nocy rozpościerającej się za oknem. Mamy tu do czynienia z inwazją melancholii; z powolnym, ale stałym wycofywaniem się z życia, z obdzieraniem go przez czas przeszły z każdego dnia, z poczuciem bycia rozbitkiem, który poszukuje swego miejsca na ziemi i swej ojczyzny, wreszcie z niespełnioną miłością. Mimo nowej i podobno skutecznej metody miłości, która — jak deklaruje bohater *Nocnej wyprawy* — jest znakomitym i skutecznym wynalazkiem autora.

Nocna wyprawa dookoła mojego pokoju ukazała się dopiero po śmierci Józefa. Uparty, młodszy brat genialnego autora

---

[2] Być może ta sugestia brata dała Xavierowi jeden z impulsów do redakcji przejmującego dialogu pt. *Trędowaty z Aosty*.

[3] W *Nocnej wyprawie* pojawia się inny nocny ptak — nietoperz, który kończy górnolotne rozważania bohatera i przywraca mu poczucie rzeczywistości.

Rozważań o Francji, licząc się ze zdaniem brata, a jednocześnie nie licząc, wydał ją w 1825 roku. Można jednak zrozumieć ten gest. I to nie jako bunt przeciw patriarchatowi[4]. Xavier de Maistre musiał odegrać pisany mu scenariusz życia, w którym dobry duch przenikał się z melancholią, a wydaje się, że nawet z głębszymi stanami depresji. Podróż dzienna musiała zostać dopełniona podróżą nocną. Bez tego odwzorowania życiowego doświadczenia światło-nocy, przeżywanego przez każdego człowieka, de Maistre nie czułby się spełniony jako pisarz.

Krótko mówiąc, podróż dzienna pisana była w warunkach zewnętrznego zniewolenia. Mimo to młody autor wpuścił przez okno do swojego pokoju-więzienia dużo słonecznego światła. Natomiast podróż nocna została napisana na wolności. Ta podróż w oknie, z głową w gwiazdach, mało tego, w mistycznym zachwycie i galopie na cudownym hebanowym koniu z *Baśni tysiąca i jednej nocy*, napisana została czarnym atramentem. Mamy więc paradoks: z jednej strony zewnętrzne zniewolenie i wewnętrzne poczucie wolności, z drugiej zaś zewnętrzna wolność z wewnętrznym poczuciem utraty wolności. To drugie doświadczenie wytłumaczyć można doświadczeniem nieuchronnego upływu czasu. Niektóre zdania powieści pisane były przez starszego człowieka, a między dwoma wydaniami pierwszej i drugiej części upłynęło 30 lat. *Nocna wyprawa* jest „podróżą do kresu nocy”. I tylko nieopuszczający autora dowcip i ironia, Gwiazda Polarna oraz nadzieja i wiara w Najwyższego sprawiają, że mimo nocy, na niebie wciąż żarzą się jasne gwiazdy.

2. *Podniebna podróż balonem*

W *Nocnej wyprawie* pojawiają się wątki podróży w powietrzu. Bohater lubi spoglądać w niebo, obserwuje lot ptaków, wspo-

[4] Józef de Maistre był starszym bratem i zarazem ojcem chrzestnym Xaviera.

mina konstrukcję mechanicznego gołąbka. Jego ulubionym sposobem podróżowania jest przemieszczanie się na koniu, który potrafi wzbić się w niebo. Sam Xavier de Maistre od wczesnych lat młodości interesował się możliwością konstrukcji maszyny zdolnej unieść człowieka w przestworza i z dużym entuzjazmem odebrał pierwsze sukcesy wzniesienia balonu w pobliskim Annonay[5].

Prospekt wyprawy aerostatycznej w Chambéry (*Prospectus d'expérience aérostatique de Chambéry*, Chambéry 1784) jest bardzo cennym dokumentem z historii nauki i techniki; zawiera opis projektu jednego z pierwszych lotów montgolfierą, czyli balonem wypełnionym gorącym powietrzem[6]. Tekst łączy wątki naukowe i techniczne (szczegóły konstrukcji balonu) oraz filozoficzne i literackie (realizacja przez człowieka mitu Ikara). To właśnie filozoficzna wartość tekstu, zadecydowała o tym, że zdecydowałem się włączyć go w formie dodatku do niniejszego polskiego wydania. Trzeba było odszukać ten niesłusznie zapomniany tekst w archiwach biblioteki i zetrzeć z niego grubą warstwę kurzu. W tym wydanym na prowincji i zapomnianym dziś manuskrypcie lśni, niczym piękny klejnot, idea filozofii podróży.

Prospekt został opublikowany anonimowo w Chambéry w 1784 roku, w imieniu pierwszych subskrybentów. Jednym z autorów tekstu był Xavier de Maistre, a drugim jego brat Józef. Adresowany był do społeczności lokalnej, a jego cel był podwójny: 1) Zaprezentowanie mieszkańcom Sabaudii wielkiego

[5] Autorzy *Prospektu wyprawy aerostatycznej w Chambéry* oraz *Listu* kładą duży nacisk na znaczenie prowincji w rozwoju techniki i „fizyki doświadczalnej". Co miało być potwierdzeniem biblijnej sentencji, że „Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców" (1 Kor 1,27). To znaczy uczonych — teoretyków z wielkich miast.

[6] Bracia Joseph Michel Montgolfier (1740–1810) i Jacques Étienne Montgolfier (1745–1799) jako pierwsi skonstruowali balon unoszony rozgrzanym powietrzem. Pierwsze udane doświadczenie lotu balonu bez załogi ludzkiej miało miejsce 14 grudnia 1782. Od nazwiska konstruktorów wywodzi się również nazwa balonu — montgolfiera.

wydarzenia, jakim miał być lot balonem; 2) Zebranie od subskrybentów środków finansowych na realizację przedsięwzięcia. Pomysłodawcą lotu był energiczny i powszechnie lubiany kawaler de Chevelu. Kierownikiem technicznym został młody inżynier Louis Brun, natomiast wspomniani Xavier i Józef de Maistre wzięli czynny udział w przygotowaniach do lotu. To dzięki zapałowi braci i ich dużej aktywności społecznej promującej projekt udało się pokryć koszt budowy balonu.

Pierwsza próba lotu wyznaczona została na 22 kwietnia 1784 roku, czyli pięć miesięcy po pierwszym na świecie swobodnym locie balonem z załogą ludzką. Próba była nieudana, monfgolfiera z inżynierem Brunem i kawalerem de Chevelu nie oderwała się od ziemi. *Prospekt* był zapowiedzią tej pierwszej próby. Jednak porażka nie zniechęciła organizatorów i kolejny lot wyznaczono na 4 maja 1784 roku. W międzyczasie Józef de Maistre udał się do Genewy, by przedyskutować kwestie techniczne z fizykiem Benedyktem de Saussurem. Ostatecznie, ze względu na złą pogodę, lot wystartował 6 maja tego samego roku. W tej drugiej wyprawie nie wziął udziału de Chevelu. Zabronił mu tego surowo ojciec. Jego miejsce zajął Xavier de Maistre. Nauczony doświadczeniem przyjaciela, zataił przed swym ojcem charakter udziału w przedsięwzięciu. Balon wystartował z parku zamku Buisson-Rond w Chambéry, a po pokonaniu odległości 4 km wylądował na bagnach Challes-les-Eaux.

Prospekt zapowiadał lot, natomiast relację z pierwszej próby poderwania montgolfiery oraz z drugiej, tym razem udanej, zawiera dołączony w drugiej części przekładu anonimowy *List.* Jego autorem jest Xavier de Maistre. Podstawą niniejszego przekładu z języka francuskiego są źródłowe egzemplarze *Prospektu* i *Listu* z 1784 roku.

Kazimierz Mrówka

Nocna wyprawa
dookoła mojego pokoju

ROZDZIAŁ I

Chciałbym opowiedzieć o nowym pokoju, w którym odbyłem nocną wyprawę i o tym, w jaki sposób przypadł mi w udziale. Mieszkałem w hałaśliwym domu, co mnie wiecznie rozpraszało w zajęciach. Dlatego od dawna myślałem nad znalezieniem w sąsiedztwie bardziej samotnego ustroniu. Pewnego dnia, przeglądając notę biograficzną pana Buffona, przeczytałem, że ten sławny człowiek wybrał w swym ogrodzie odosobniony pawilon, który nie zawierał żadnego innego sprzętu, prócz fotelu i biurka, przy którym pisał; ani też żadnego innego dzieła, prócz manuskryptu, nad którym pracował.

Moje chimery są tak odmienne od nieśmiertelnych prac pana de Buffona, że nie pomyślałbym nawet o naśladowaniu go, choćby w tym punkcie, gdyby nie wydarzył się pewien wypadek. Służący, ścierając kurz z mebli, sądził, że jest go również dużo na obrazie, który świeżo pokryłem pastelem. Starł dokładnie cały ten „kurz", choć nałożyłem go z dużym trudem. Zdenerwowałem się na niego, ale akurat był nieobecny. Nie powiedziałem nic, kiedy powrócił i wyjechałem na wieś, zgodnie ze swym zwyczajem. Wróciłem do siebie z kluczem od małego pokoju, który wynająłem na piątym piętrze przy ul. *Opatrzności.* Tego samego dnia przeniosłem tam materiały niezbędne do moich ulubionych zajęć. Tam również spędzałem potem największą część czasu, ukryty przed hałasem domowym i czyścicielami obrazów. W tym ciasnym pokoju godziny płynęły jak minuty, a marząc niejednokrotnie zapominałem o godzinie obiadu.

O łagodna samotności! Poznałem uroki, którymi upajasz twych kochanków. Nieszczęsny ten, kto nie potrafi spędzić jednego dnia nie doświadczając udręki nudy, lub woli konwersować z głupcami, a nie z sobą.

Przyznam się, że lubię samotność w wielkich miastach. Ale nie licząc poważnej okoliczności, jaką jest podróż dookoła mojego pokoju, chcę być eremitą tylko z rana. Wieczorem lubię oglądać ludzkie twarze. W ten sposób niedogodności życia społecznego i samotności niszczą się nawzajem, zaś dobre strony dwu sposobów życia dopełniają się.

Jednocześnie niestałość i nieuchronność rzeczy tego świata sprawiają, że sama żywotność przyjemności, którymi cieszyłem się w mojej nowej siedzibie, powinna była uprzedzić mnie, że będą one krótkotrwałe. Rewolucja Francuska, która wylewała się ze wszystkich stron, zalała również Alpy i śpieszyła w kierunku Włoch. Zostałem porwany przez pierwszą falę aż do Bolonii. Moją pustelnię zachowałem na lepsze czasy i przeniosłem do niej wszystkie meble. Od kilku lat byłem pozbawiony ojczyzny. Pewnego pięknego ranka dowiedziałem się, że zostałem również bez pracy. Po roku spędzonym całkowicie na oglądaniu ludzi i rzeczy, których nie lubiłem ani trochę, oraz na pragnieniu rzeczy i ludzi, których już nie widziałem, wróciłem wreszcie do Turynu. Trzeba było podjąć decyzję. Wyszedłem z gospody *La Bonne-Femme*, w której pojawiłem się z zamiarem oddania małego pokoju właścicielowi i pozbycia się moich mebli.

Wchodząc do mojej pustelni doświadczyłem uczuć, które trudno opisać. Wszystkie rzeczy zachowane były w porządku, to znaczy nieporządku, w którym je pozostawiłem: meble stojące przy ścianie pokryły się warstwą kurzu. Moje pióra tkwiły wciąż w wysuszonym kałamarzu, a na stole leżał rozpoczęty list.

— Jestem jeszcze u siebie — powiedziałem z prawdziwą satysfakcją. Każdy przedmiot przypominał mi jakieś wydarze-

nie z życia, a pokój wypełniały wspomnienia. Zamiast wrócić do gospody, postanowiłem spędzić noc wśród należących do mnie przedmiotów. Posłałem po walizkę i w tym samym czasie podjąłem decyzję, że wyruszę następnego dnia; nie żegnając się i nie zasięgając niczyjej rady zdawałem się bez reszty Opatrzność.

ROZDZIAŁ II

Snułem refleksje i chwaliłem plan dobrze obmyślonej podróży. Czas upływał, ale służący nie powracał. Był to człowiek, którego usługi przyjąłem kilka tygodni temu z konieczności. Miałem jednak wątpliwość odnośnie jego wierności. Naraz naszła mnie myśl, że mógł ukraść moją walizkę. Czym prędzej pobiegłem do karczmy: miałem jeszcze czas. Skierowałem się w róg ulicy, na której mieścił się hotel *Bonne-Femme*. Zobaczyłem go. Wychodził szybko z drzwi, a przed nim szedł tragarz z moją walizką. On sam niósł moją szkatułkę i zamiast skręcić w moją stronę, poszedł w lewo w przeciwnym kierunku do tego, którego powinien się trzymać. Jego zamiar był jasny. Zbliżyłem się do niego z łatwością i nic nie mówiąc przez jakiś szedłem obok niego. Wreszcie sam mnie spostrzegł. Jeśli ktoś chciałby odmalować wyrażenie zdziwienia i przerażenia, wyniesione u człowieka do stopnia najwyższego, kiedy zobaczył mnie obok siebie, to byłby on modelem doskonałym.

Miałem dużo czasu na jego obserwację. Tak był bowiem zaskoczony moim nieoczekiwanym pojawieniem się oraz powagą, z jaką na niego patrzyłem, że przez jakiś czas bez słowa kontynuował ze mną swój marsz, tak jakbyśmy odbywali wspólną przechadzkę. W końcu wyjąkał pretekst jakieś sprawy przy ul. Grand-Doire. Ale sprowadziłem go na dobrą drogę. Wróciliśmy do domu, po czym odprawiłem go.

To właśnie wtedy zdecydowałem się wyruszyć w nową podróż w moim pokoju. Odbyła się ona w ostatnią noc, którą miałem w nim spędzić. Natychmiast zająłem się samymi przygotowaniami.

ROZDZIAŁ III

Od dawna pragnąłem zobaczyć kraj, który kiedyś rozkosznie przemierzałem. Wydawało mi się, że nie opisałem go wystarczająco. Kilku przyjaciół, którzy zakosztowali podróży po nim, prosiło mnie o kontynuację. Z pewnością zdecydowałbym się już wcześniej, gdybym nie został oddzielony od moich współtowarzyszy podróży. Niechętnie zająłem się karierą.

Niestety, wróciłem tam sam. Miałem podróżować bez drogiego Joannettiego i kochanej Rosine. Mój pierwszy pokój doświadczył najbardziej niszczycielskiej rewolucji. Co ja mówię? Już go nie ma. Jego przestrzeń stała się częścią najgorszej rudery sczernionej płomieniami i wszystkie śmiertelne wynalazki wojny połączyły się, aby całkowicie go zniszczyć[1]. Ścianę, na której wisiał portret pani Hautcastel[2], przeszyła bomba. Wreszcie, jeśli nie odbyłbym szczęśliwie podróży przed tą katastrofą, to współcześni uczeni nie poznaliby tego niezwykłego pokoju. W ten właśnie sposób, nie znając spostrzeżeń Hiparcha, nie wiedzieliby dziś, że niegdyś istniała jeszcze jedna gwiazda w Plejadach, która zgasła od czasu znanego astronoma.

Zmuszony przez kilka okoliczności opuściłem mój pokój i przeniosłem penaty w inne miejsce. Powie ktoś, że nie ma wielkiego nieszczęścia. Ale w jaki sposób zastąpić Joannettiego i Rosine? Nie jest to możliwe. Joannetti stał mi się tak potrzeb-

---

[1] Pokój mieścił się w twierdzy Turynu. Zob. *Podróż dookoła mojego pokoju*, dz. cyt., *passim.* Wszystkie przypisy w powieści *Nocna wyprawa dookoła mojego pokoju* pochodzą od tłumacza — K.M.

[2] Pani Hautcatel, Joannetti, Rosine — ważne postaci pierwszej części pt. *Podróż dookoła mojego pokoju*, zob. tamże, *passim*.

ny, że jego strata nie została mi nigdy wyrównana. Któż zresztą może pochwalić się, że zawsze żyje z ukochanymi osobami? Ludzie przypominają rój muszek wirujących w powietrzu, co można zobaczyć w czasie pięknych wieczornych dni. Spotykają się przez przypadek i tylko od czasu do czasu; i są szczęśliwi, jeśli w swym szybkim ruchu, tak zwinnym jak muszki, nie rozbijają sobie wzajemnie głów.

Pewnego wieczoru kładłem się do łóżka. Joannetti usługiwał mi z charakterystyczną dla siebie gorliwością, a wydawało się, że nawet większą. Rzuciłem okiem na niego, kiedy wniósł światło i zauważyłem znaczącą zmianę w jego wyglądzie. Czy uwierzyłbym, że biedny Joannetti służy mi po raz ostatni? Nie będę utrzymywał czytelnika w niepewności gorszej od prawdy. Wolę powiedzieć mu bez ogródek, że Joannetti ożenił się tej samej nocy i opuścił mnie nazajutrz.

Ale nie można oskarżać go o niewdzięczność, że tak nagle zostawił swego pana. Znałem jego zamiar od dawna i nie miałem powodu, aby się temu sprzeciwiać. Oficjalne potwierdzenie nadeszło wczesnym rankiem i miałem dosyć czasu przed pojawieniem się Joannettiego, aby wpaść w gniew, a potem uspokoić się. Oszczędziło mu to wyrzutów, na które był przygotowany. Przed wejściem do mojego pokoju zwrócił się do kogoś podniesionym głosem, udając, że się nie boi. Zjawił się u mnie, uzbrojony w zuchwałość, jaka tylko mogła przeniknąć do jego dobrej duszy. Wyglądał na pewnego siebie. Przez chwilę czytałem w jego myślach to wszystko, co zdarzyło się w jego duszy i nie miałem wobec niego złej woli. Współczesne złe obyczaje straszą dobrych ludzi niebezpieczeństwami małżeństwa. Młody małżonek podobny jest często do człowieka, który upadł okropnie nie czyniąc sobie przy tym żadnej krzywdy. Wypełnia go jednocześnie strach i radość, co nadaje mu śmiesznego wyglądu. Nic więc dziwnego, że zachowanie mojego wiernego sługi było wynikiem niecodziennej sytuacji.

— A zatem ożeniłeś się, mój drogi Joannetti — mówię do niego ze śmiechem. Przygotował się tylko na mój gniew

i wszystkie jego starania poszły na marne. Powrócił więc do dawnego zachowania. Gorzej, rozpłakał się:

— Co mogę powiedzieć, proszę pana? — powiedział zmienionym głosem. — Dałem słowo.

— Dobrze zrobiłeś mój przyjacielu, do licha! Obyś był zadowolony z żony, a zwłaszcza z samego siebie, obyś miał podobne do siebie dzieci! Trzeba więc będzie rozejść się.

— Tak, proszę pana, zamierzamy przeprowadzić się do Asti.

— A kiedy chcesz mnie opuścić?

W tym momencie zakłopotany Joannetti spuścił wzrok i odpowiedział głosem, który zabrzmiał dwa tony niżej:

— Moja żona znalazła w swej okolicy kierowcę, który wraca do siebie bez towaru i wyjeżdża dzisiaj. Nadarza się dobra okazja, ale..., jednak..., zrobimy to wtedy, gdy się panu spodoba..., chociaż ciężko będzie złapać podobną okazję.

— Tak wcześnie? — odpowiedziałem. Nagły przypływ uczucia żalu i wzruszenia, wymieszanego z dużą dozą rozczarowania, sprawił, że zamilkłem. Po chwili dodałem:

— Nie chcę cię zatrzymywać. Możesz odejść nawet teraz, jeśli ci to pasuje.

Joannetti zbladł.

— Tak, idź mój przyjacielu do swej żony. Bądź dla niej zawsze tak samo dobry, tak samo uczciwy, jaki byłeś dla mnie.

Załatwiliśmy kilka spraw, po czym pożegnałem go ze smutkiem. Wyszedł.

Ten człowiek służył mi przez piętnaście lat. Rozdzieliła nas jedna chwila. Nigdy go już nie spotkałem.

Spacerując po moim pokoju rozmyślałem o tym nagłym oddzieleniu. Rosine wyszła niepostrzeżenie za Joannettim. Kwadrans później otworzyły się drzwi. Weszła Rosine. Ujrzałem rękę Joannettiego, który wepchnął ją do pokoju. Drzwi się zamknęły i poczułem uścisk serca... Nie wejdzie już do mojego pokoju... Wystarczyło kilka minut, aby dwaj starzy przyjacie-

le, którzy znali się od piętnastu lat, stali się nagle sobie obcy. Smutna kondycja ludzka. Nie można znaleźć stałego przedmiotu, na którym można oprzeć choćby najsłabsze uczucia.

ROZDZIAŁ IV

Rosine również żyła z dala ode mnie. Droga Marie, z pewnością zainteresuje cię, że w wieku piętnastu lat była wciąż najukochańszym ze zwierząt i ta sama wyższość inteligencji, która wyróżniała ją dawniej z całego gatunku, służyła jej jednocześnie do znoszenia ciężaru starości. Nie chciałbym się z nią rozstawać. Ale kiedy chodzi o los jej przyjaciół, to czy nie należy zwracać uwagi na ich własną przyjemność lub korzyść? Dobrym dla Rosine rozwiązaniem była rezygnacja z życia wędrownego, jakie prowadziła wraz ze mną. Chciałem, aby na stare lata zasmakowała wreszcie odpoczynku, o którym ja sam nie mogłem już więcej marzyć. Jej podeszły wiek sprawił, że musiałem wysłać ją na emeryturę. Pewna uczynna siostra zakonna przygarnęła ją na pozostałe dni życia. Wiem też, że w tym przybytku cieszyła się dobrą opieką, na co zasłużyła sobie ze względu na swój wiek, zalety i opinię.

Natura ludzi jest taka, że szczęście nie wydaje się być uczynione dla nich. Przyjaciel niechcący obraża swego przyjaciela. Nawet kochankowie nie potrafią żyć bez kłótni. Od czasu Likurga aż po dziś dzień żadnemu z prawodawców nie udało się uczynić ludzi szczęśliwymi. Dlatego pocieszam się przynajmniej tym, że dałem szczęście psu.

ROZDZIAŁ V

Teraz, gdy czytelnik zna już ostatnie pasaże historii Joannettiego i Rosine, pozostaje mi jeszcze wspomnieć krótko o duszy i bestii[3]. W ten sposób wyrównam z nimi rachunki. Te dwie postaci, zwłaszcza ostatnia, nie odgrywały więcej znaczącej roli w mojej podróży. Łaskawy podróżnik, który poszedł w moje ślady[4], uważa, że powinny być zmęczone. Ma rację, niestety. To nie tak, że moja dusza nie straciła nic ze swej aktywności. Jednak jej relacje z innym uległy zmianie. Inny nie miał już tej samej żywotności w swych wyjazdach. Nie miał już..., jak to wyjaśnić?... Chciałem powiedzieć, że nie miał już tej samej obecności ducha; jakby miała go bestia!

Jakkolwiek by nie było i nie wchodząc w kłopotliwe wyjaśnienia, powiem tylko, że zachęcony ufnością, jaką obdarzyła mnie młoda Aleksandra, napisałem do niej czuły list. Otrzymałem miłą, lecz chłodną odpowiedź, która kończyła się dosłownie tak: „Zapewniam, że na zawsze zachowam dla pana uczucie szczerego szacunku". Byłem zgubiony. Od tego fatalnego dnia zdecydowałem się nie eksponować mojego systemu duszy i bestii. W rezultacie, nie czyniąc rozróżnienia między tymi istotami i nie rozdzielając ich, pozostawiłem je, aby jedna niosła drugą. W ten sposób niektórzy sprzedawcy noszą swoje towary. Podróżowałem odtąd w jednej całości i unikałem wszelkich niedogodności.

---

[3] Na temat pojęcia bestii u Xaviera de Maistre'a zob. tenże, *Podróż dookoła mojego pokoju*, dz. cyt., s.23 oraz s. 33, przypis nr 3.

[4] *Druga Podróż dookoła mojego pokoju*, autor anonimowy, rozdział pierwszy.

ROZDZIAŁ VI

Nie ma potrzeby, aby mówić o wymiarach mojego nowego pokoju. Podobny jest do pierwszego. Można by nawet pomylić je, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jednak w tym nowym, ze względu na architekturę i odpływ deszczu, sufit opada w stronę ulicy. Światło dzienne wpada do środka przez jeden otwór o długości dwóch stóp i wysokości czterech. Okno znajduje się na wysokości sześciu lub siedmiu stóp nad podłogą. Wychodzi się do niego po małej drabinie.

Wzniesienie okna nad podłogą jest jedną z tych szczęśliwych okoliczności, które równie dobrze można zawdzięczać przypadkowi, co geniuszowi architekta. Światło dzienne wpada do mojego zacisza od góry i nadaje mu tajemniczy wygląd. Starożytna świątynia Panteon przyjmuje światło mniej więcej w ten sam sposób. Poza tym nie może mnie rozpraszać żaden przedmiot zewnętrzny. Podobnie do żeglarzy, którzy zagubieni na wielkim oceanie widzą jedynie niebo i morze, ja sam widzę tylko pokój i niebo, a na niebie księżyc lub gwiazdę poranną. Dzięki temu między mną, a niebem tworzy się bezpośredni związek, a moje myśli mogą płynąć pod niebem. Nigdy bym tego nie doświadczył mieszkając na parterze.

Okno wznosi się ponad dach i tworzy piękną lukarnę. Jej wysokość na horyzoncie jest tak duża, że oświetlają ją pierwsze promienie światła, kiedy na ulicy jest jeszcze ciemno. Cieszę się jednym z najpiękniejszych widoków, jakie można sobie wyobrazić. Ale nawet najpiękniejszy widok jest męczący, kiedy podziwia się go zbyt często. Oko przyzwyczaja się i traci zainteresowanie. Położenie okna chroni mnie przed tą niedogod-

nością. Jeśli chcę oglądać wspaniały spektakl okolic Turynu, to muszę wyjść na czwarty lub piąty szczebel drabiny, co za każdym razem dostarcza mi nowych i żywych przyjemności. Jeśli pod koniec dnia jestem zmęczony i mam ochotę na relaks, to wspinam się do okna.

Na pierwszym szczeblu widzę tylko niebo. Wkrótce pojawia się ogromna świątynia Supergue[5]. Wznosi się na wzgórzu Turynu[6], które odkrywa przede mną lasy i bogate winnice, a zachodzącemu słońcu ofiaruje z dumą swe ogrody i pałace. Natomiast proste, skromne i ciche siedziby kryją się w dolinie sprzyjając medytacjom i mądrości.

Urocze wzgórze często widziało, jak szukałem samotni, a zamiast wspaniałych promenad stolicy wybierałem oddalone ścieżki. Gubiłem się w jego labiryntach zieleni, wsłuchany w śpiew porannego skowronka, z sercem pełnym nieokreślonego niepokoju oraz gorącego pragnienia, aby osiąść na zawsze w jego zaczarowanych dolinach.

— Witam cię urocze wzgórze! Jesteś odmalowane w mym sercu. Oby niebiańska rosa, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej użyźniła twe pola i zagęściła kępy drzew. Niech mieszkańcy cieszą się swym szczęściem w spokoju, a twe cienie będą dla nich dobre i kojące. Niech twoja szczęśliwa ziemia będzie zawsze łagodnym azylem dla prawdziwej filozofii, skromnej nauki, szczerej przyjaźni i gościnności, które tu znalazłem!

[5] Lub Superga. Świątynia ufundowana przez króla Wiktora Amadeusza II, w 1706 roku, w celu dopełnienia obietnicy, jaką złożył Maryi, że zbuduje świątynię, jeśli Francuzi odstąpią od oblężenia Turynu. W Bazylice de Superga znajdują się również grobowce książąt Sabaudii.

[6] Monte dei Cappuccini, wznoszące się na wysokość 660m n.p.m.

ROZDZIAŁ VII

Rozpocząłem moją podróż dokładnie o ósmej wieczorem. Pogoda była spokojna i zapowiadała piękną noc. Przedsięwziąłem środki ostrożności, aby w podróży nie przeszkodziły mi żadne odwiedziny. Te i tak są bardzo rzadkie na wysokości, zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Chciałem też zostać sam aż do północy. Cztery godziny w zupełności wystarczyły na realizację mojego przedsięwzięcia. Tym razem zamierzałem odbyć prostą wycieczkę dookoła mojego pokoju. Jeśli pierwsza podróż trwała czterdzieści trzy dni[7], to dlatego, że nie ode mnie zależała jej długość. Nie chciałem również uzależniać się od podróżowania powozem, przekonany, że pieszy podróżnik widzi wiele rzeczy, których z kolei nie dostrzega ten, kto przemieszcza się bardzo szybko. Postanowiłem więc, aby w zależności od okoliczności poruszać się na przemian pieszo lub na koniu. Była to dla mnie zupełnie nowa metoda. Szybko też okazało się, że jest bardzo użyteczna. Wreszcie, zaplanowałem sobie robienie notatek w drodze i spisywanie czynionych obserwacji, aby niczego nie zapomnieć.

W celu narzucenia porządku mojemu przedsięwzięciu i daniu mu nowej szansy na sukces, pomyślałem, że należy zacząć od ułożenia listu dedykacyjnego. Zamierzałem napisać go wierszem, przez co stałby się bardziej interesujący. Ale na przeszkodzie stanęły mi dwie trudności, przez które ostatecznie zrezygnowałem, mimo korzyści, jaką mogłem zyskać. Pierwsza trudność sprowadzała się do pytania, kto miał być adresatem

---

[7] Dokładnie czterdzieści dwa dni.

listu, a druga, jaki miałby to być wiersz. Po głębszym przemyśleniu rzeczy, podjąłem decyzję, że rozsądnie będzie napisać mój list i zrobić to najlepiej, jak potrafiłem, a dopiero później poszukać odpowiedniego adresata. Natychmiast zabrałem się do dzieła. Pracowałem ponad godzinę, ale nie mogłem znaleźć rymu do pierwszego zapisanego wersu. Chciałem go zachować ponieważ wydawał mi się bardzo udany. Czytałem gdzieś, że sławny Pope[8] tworzył chodząc po gabinecie we wszystkich kierunkach oraz głośno i długo recytując wiersze. W ten sposób pobudzał swój zapał. Próbowałem go teraz naśladować. Wziąłem do ręki pieśni Osjana i czytałem je na głos stawiając wielkie kroki. Czekałem, aż spłynie na mnie natchnienie.

Zastosowana metoda w sposób niezauważalny wznieciła moją wyobraźnię i dała mi tajemnicze poczucie poetyckiej mocy. Wykorzystałbym ją w pisaniu listu dedykacyjnego. Na moje nieszczęście zapomniałem o skosie sufitu w moim pokoju. Jego nagłe obniżenie stanęło na przeszkodzie mojej głowie. Przez ten pochył nie mogła się ona poruszać w dowolnym kierunku równie swobodnie, co moje stopy. Tak mocno uderzyłem głową o przeklętą przeszkodę, że aż zatrzęsło dachem domu. Wróble, które spały na dachu, poderwały się przestraszone. Odbicie cofnęło mnie o trzy kroki w tył.

[8] Alexander Pope (1688–744) — poeta angielski okresu Oświecenia.

ROZDZIAŁ VIII

Kiedy spacerowałem, aby pobudzić wyobraźnię, wtedy młoda i ładna kobieta, która mieszkała pode mną, zdziwiona tupaniem i myśląc, że wystawiam w moim pokoju bal, wydelegowała swego męża, aby dowiedział się, co jest przyczyną hałasu.

Otworzyły się drzwi, a ja wciąż byłem zamroczony kontuzją. Starszy człowiek o melancholijnej twarzy włożył swą głowę do pokoju i przebiegł po nim ciekawskim spojrzeniem. Zdziwił się, że jestem sam, a po chwili powiedział zdenerwowany:

— Moja żona ma migrenę, proszę pana. Ośmielam się zwrócić uwagę, że...

Przerwałem mu natychmiast, a mój styl zdradzał górnolotne myśli.

— Czcigodny posłańcu mej pięknej sąsiadki — zwróciłem się do niego w języku bardów — dlaczego twe oczy błyszczą pod ciężkimi powiekami, jak dwa meteory w ciemnym lesie w Cromba? Twoja piękna towarzyszka jest promieniem światła i wolałbym umrzeć tysiąc razy, niż przeszkodzić jej w odpoczynku. Lecz twoja powierzchowność, czcigodny posłańcu, jest mroczna, jak najgłębsze sklepienie jaskini w Cromba, kiedy nagromadzone chmury burzowe zaciemniają twarz nocy i ciążą nad cichymi wsiami Morven.

Sąsiad najwyraźniej nigdy nie czytał pieśni Osjana. Źle zrozumiał przypływ natchnienia i wziął go za dopust szaleństwa. Wyglądał na mocno zakłopotanego. Nie było moją intencją, aby go obrazić. Podsunąłem mu krzesło i poprosiłem,

aby usiadł. Nie zauważyłem jednak, że wycofał się po cichu. Przeżegnał się znakiem krzyża mówiąc półgłosem:

— *È matto, per Bacco, è matto!*[9]

[9] W języku włoskim: „Jest szalony, na Bachusa, jest szalony!"

ROZDZIAŁ IX

Pozwoliłem mu wyjść. Nie chciałem sprawdzać do jakiego stopnia jego obserwacja była uzasadniona. Usiadłem za biurkiem, aby opisać te wydarzenia. Ale zaledwie otworzyłem szufladę, w której miałem nadzieję znaleźć papier, natychmiast ją zamknąłem. Poczułem się dotknięty przez jedno z najgorszych uczuć, mianowicie upokorzonej miłości własnej. Rodzaj zaskoczenia, którego doświadczyłem przy tej okazji, podobny jest do tego, który odczuwa zmieszany podróżnik, kiedy zbliżając swe usta do czystej fontanny spostrzega na dnie wpatrującą się w niego żabę.

W moim wypadku był to tylko szkielet sztucznego gołąbka, którego niegdyś zbudowałem na wzór Archytasa[10]. Pragnąłem, by latał w powietrzu. Przez ponad trzy miesiące pracowałem bez wytchnienia nad jego konstrukcją. Nadszedł wreszcie dzień próby. Postawiłem go na brzegu stołu. Zamknąłem dokładnie drzwi, by moje odkrycie utrzymać w tajemnicy i moim przyjaciołom sprawić miłą niespodziankę. Jedna linka trzymała nieruchomy mechanizm. Któż mógłby sobie wyobrazić przyśpieszone uderzenia mojego serca i niepokoje miłości własnej, kiedy zbliżałem nożyczki, aby przeciąć okropne połączenie?

Gdzie tam... Szkielet gołąbka rozwinął hałaśliwie skrzydła i wystartował. Podniosłem głowę i spojrzałem na niego. Ale po wykonaniu kilku obrotów wokół siebie, spadł i ukrył się pod stołem. Senna Rosine oddaliła się ze smutkiem. Rosine, która za każdym razem, gdy zobaczyła kurczaka, gołębia, czy nawet

---

[10] Archytas (428–347) — grecki filozof i matematyk. Pitagorejczyk.

mniejszego ptaka, rzucała się w pościg za nim... Tym razem nie raczyła nawet spojrzeć na trzepocącego na podłodze gołąbka... Był to cios łaski dla mojej miłości własnej. Wyszedłem na wały obronne, aby zaczerpnąć powietrza.

ROZDZIAŁ X

Taki był los mojego sztucznego gołąbka. Chociaż geniusz mechaniczny przeznaczył go do naśladowania lotu orła na niebie, to jednak przeznaczenie dało mu skłonności kreta.

Spacerowałem w nastroju smutku i rozczarowania. Wzniosłem oczy ku górze i ujrzałem lecące żurawie. Zatrzymałem się, by się im przyjrzeć. Leciały w porządku trójkątnym, jak kolumna angielska w walce o Fontenoy[11]. Widziałem, jak przecinały niebo, płynąc od chmury do chmury.

— Jak one dobrze lecą — powiedziałem do siebie cicho — z jaką pewnością ślizgają się po niewidzialnej ścieżce lotu!

Proszę mi wybaczyć okropne uczucie zazdrości, które tylko raz, tylko jeden raz pojawiło się w mym sercu i to wobec żurawi. Śledziłem je zazdrosnym spojrzeniem aż do granic horyzontu. Nieruchomy pośród przechadzającego się tłumu, przez długi czas obserwowałem szybkie ruchy podniebnych ptaków. Dziwiłem się, że utrzymują się w powietrzu, jak gdybym nigdy wcześniej nie widział podobnego zjawiska.

Moją duszę rozjaśniło uczucie głębokiego podziwu, którego dotąd nie znałem. Sądziłem, że po raz pierwszy oglądam naturę. Słuchałem brzęczenia much, śpiewu ptaków, a także tego tajemniczego i różnorodnego hałasu żywego stworzenia, które bezwiednie wychwala swego Autora. Niewysłowiony koncert. Tylko człowiek ma wielki przywilej, aby dołączyć do niego słowa wdzięczności.

---

[11] Bitwa pod Fontenoy (11 maja 1745) z okresu wojny francusko-austriackiej (1745–1747).

Kim jest Autor tego wspaniałego mechanizmu? — pisałem w pobudzającym mnie uniesieniu. Kim jest ten, który otworzył swą stwórczą dłoń i wypuścił w niebo pierwszą jaskółkę? Ten, który rozkazał drzewom, aby wyrosły z ziemi i wypuściły ku niebu gałęzie? A ty, zachwycające stworzenie, którego wygląd domaga się szacunku i miłości — powiedz, kto umieścił cię na powierzchni ziemi, aby ją tobą ozdobić? Jaka myśl narysowała boskie formy, które były wystarczająco mocne, aby stworzyć spojrzenie i uśmiech niewinnej piękności? I ja sam, który czuję bicie mojego serca... Jaki jest cel mojego istnienia? Kim jestem i skąd pochodzę? Ja, autor mechanicznego, sztucznego gołąbka.

Zaledwie wypowiedziałem to barbarzyńskie słowo, które zadziałało na mnie, jakby ktoś wylał wiadro wody na śpiącego człowieka, spostrzegłem, że byłem otoczony przez kilka osób. Przyglądały mi się i słuchały tego, co mówiłem w uniesieniu. Ujrzałem więc piękną Georginię, która wyprzedzała mnie o kilka kroków. Połowa jej lewego policzka pokryta była czerwoną farbą, która przebijała przez pukle jej peruki blond. Ten widok sprowadził mnie na powrót w bieg spraw tego świata, w którym przez chwilę byłem nieobecny.

ROZDZIAŁ XI

Doszedłem do siebie po zamieszaniu ze sztucznym gołąbkiem. Jednocześnie powrócił silny ból wywołany kontuzją. Przetarłem czoło ręką i wyczułem nowy guz. Pojawił się dokładnie w tej części głowy, w której doktor Gall umieścił poetyckie wzniesienie. Nie myślałem o tym, ale samo doświadczenie musiało udowodnić mi prawdę systemu tego sławnego człowieka.

Spróbowałem raz jeszcze wrócić do mojego listu dedykacyjnego. Wziąłem do ręki ołówek i zabrałem się do dzieła. Moje zdziwienie było wielkie... Wersy wypływały same spod pióra. W niecałą godzinę napisałem dwie strony. W przypadku Pope'a twórczość poetycką wywoływał ruch, natomiast u mnie wystarczyła odniesiona kontuzja. Nie dałem jednak czytelnikowi tego, co napisałem, ponieważ nadzwyczajny pośpiech, z jakim w mojej podróży następowały po sobie kolejne przygody, przeszkodził mi dokończyć tekst. Mój wypadek należy oceniać jako cenne odkrycie, chociaż obawiam się, że poeci nie będą z niego korzystać.

Jestem przekonany o niezawodności nowej metody. Dzięki niej napisałem poemat, który zawiera dwadzieścia cztery pieśni. Nie uznaję za konieczne, aby dodatkowo komentować moją poezję. Poemat zostanie opublikowany wraz z *Prisonnière de Pignero*[12]. Wspomnę tylko, że przepisałem na czysto pięćset stron, które w całości zasługują na miano wartościowych poematów współczesnych.

---

[12] Xavier de Maistre nigdy nie wydał wspomnianej opowieści. Zob. też podobną deklarację w: tenże, *Podróż dookoła mojego pokoju*, dz. cyt., s. 81.

Chodziłem po moim pokoju rozmyślając o moich odkryciach. Napotkałem łóżko i usiadłem na nim. Przez przypadek moja ręka znalazła się na szlafmycy. Włożyłem ją na głowę i położyłem się spać.

ROZDZIAŁ XII

Leżałem w łóżku od piętnastu minut. Zwykle o tej porze już spałem. Ideę listu dedykacyjnego zastąpiły smutne refleksje. Gasnące światło rzucało już tylko niestały i ponury blask z głębi okapnika. Pokój nabrał wyglądu grobowca. Wtem powiew wiatru otworzył okno, zgasił świecę i zamknął z hukiem drzwi. Czarny odcień mych myśli powiększał się wraz z rosnącą na zewnątrz ciemnością.

Wszystkie moje dawne przyjemności, wszystkie moje obecne troski stopiły się jednocześnie w sercu napełniając go żalem i goryczą. Podejmuję stały wysiłek, aby zapomnieć o smutkach i przegnać je z myśli. Zdarza mi się jednak, przez nieuwagę, że wszystkie naraz wchodzą w pamięć, tak jakby otwarto im śluzę. W takich wypadkach nie pozostaje mi nic innego, jak zrezygnować z oporu i dać się ponieść potokowi. Myśli stają się więc tak ciemne, a wszystkie przedmioty wydaję się tak przygnębiające, że kończę śmiejąc się z mego szaleństwa. Znajduję lekarstwo w samej gwałtowności bólu.

Pozostawałem wciąż w całej mocy jednego z kryzysów melancholii, kiedy część podmuchu wiatru, który otworzył okno i zamknął drzwi, po wykonaniu kilku kółek w pokoju, przekartkował rozłożone książki i rzucił na ziemię jedną fruwającą stronicę mojej podróży. Na koniec wpadł w zasłony i zamarł na moim policzku. Poczułem łagodny powiew nocy i patrząc na to, jak na zaproszenie z jego strony, wstałem natychmiast i wyszedłem na drabinę, aby cieszyć się spokojem natury.

ROZDZIAŁ XIII

Noc była pogodna: droga mleczna ścieliła niebo niczym lekki obłok. Każda gwiazda emanowała łagodnymi promieniami. A kiedy przyglądałem się uważnie jednemu z nich, to zdawało się, że inne świeciły większym blaskiem, by przyciągnąć moje spojrzenie.

Kontemplacja rozgwieżdżonego nieba była dla mnie czymś wiecznie nowym. Nie mogę wyrzucać sobie odbycia ani jednej podróży, ani nawet zwykłego spaceru nocnego, nie płacąc daniny podziwu, jaki mam dla cudów firmamentu. W tych wzniosłych medytacjach odczuwam całą niemoc myśli, za to znajduję w nich niewyrażalną przyjemność. Lubię myśleć, że to nie przypadek przywiódł do mych oczu promienie dalekich ciał i każda świecąca gwiazda wlewa nadzieję w moje serce. Ale czy te cuda nie tworzą ze mną innego związku, prócz tego, że błyszczą w mych oczach? Czy obca jest im moja myśl, która wznosi się aż do nich, moje serce poruszone ich widokiem?

Efemeryczny widz wiecznego spektaklu — człowiek, wznosi na chwilę oczy ku niebu, po czym zamyka je na zawsze. Jednak w krótkim czasie trwania danej mu chwili, ze wszystkich punktów nieba i granic wszechświata, promień pocieszyciel wychodzi z każdego świata i uderza w jego spojrzenie. Mówi mu, że istnieje związek między nim, a nieskończonością i że są nim związani na wieczność.

ROZDZIAŁ XIV

Przyjemność, jaką odczuwałem oddając się medytacji, naruszyło przykre uczucie. Jak mało osób — mówiłem — cieszy się teraz wzniosłym spektaklem, jaki niebo rozpościera niepotrzebnie dla uśpionych ludzi... Pominę pogrążonych we śnie. Ale ile kosztuje on tych, którzy spacerują, czy śpieszą tłumnie do teatru? Wystarczy spojrzeć przez chwilę i podziwiać połyskujące konstelacje, które ze wszystkich stron opromieniają ich głowy. Nie, uważni widzowie Scapina lub Jocrisse'a[13] nie raczą wznieść oczu. Wrócą szybko do siebie lub do innych nie myśląc nawet o tym, że niebo istnieje. Co za dziwactwo! Nie chcą go, ponieważ można na nie spoglądać często i za darmo. Jeśli firmament byłby zawsze dla nas zakryty, jeśli spektakl, jaki nam oferuje zależałby od przedsiębiorcy, to pierwsze loże na dachu byłyby bezcenne, a damy Turynu wyrywałyby sobie moją lukarnę.

— Jeśli byłbym władcą jakiegoś kraju — zawołałem, pod wpływem słusznego oburzenia — to nakazałbym dzwonić na alarm każdej nocy i zobligowałbym wszystkich, w każdym wieku, każdej płci i w każdych warunkach stanąć w oknie i oglądać gwiazdy.

Tymczasem rozum, który w moim królestwie ma jedynie ograniczone prawo napominania, cieszył się bardziej niż zwy-

[13] Xavier de Maistre nawiązuje tu do postaci komicznych i zarazem bohaterów komedii Moliera: *Les Fourberies de Scapin* (1671) oraz *Les Femmes savantes* (1672). Scapin (w języku włoskim Scappino) to jedna z postaci *commedia dell'arte*. De Maistre kontrastuje negatywne postaci, które przyciągają uwagę ludzi z pięknem nieba, na które pozostają obojętni.

kle i zgłosił swe wątpliwości odnośnie nierozważnej ustawy, jaką chciałem ogłosić w moim państwie:

— Panie — mówi — czy jego wysokość nie zechciałaby uczynić wyjątku na rzecz deszczowych nocy? Wszak w tym wypadku, zasłonięte niebo...

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem — nie pomyślałem o tym. Zanotuj więc wyjątek dla deszczowych nocy.

— Panie — dodał — uważam za stosowne wykluczyć również chłodne noce, kiedy dmie północny wiatr, ponieważ rygorystyczne wypełnianie ustawy sprowadziłoby na twych szczęśliwych poddanych przeziębienie i katar.

Zacząłem dostrzegać wiele trudności w wykonaniu projektu, przez co wróciłem do punktu wyjścia:

— Należy — mówię — napisać prośbę o udzielenie rady do medycyny oraz akademii nauk w kwestii określenia temperatury termometru stustopniowego, w której poddani będą zwolnieni od stania w oknie. Ale wymagam bezwzględnie, aby rozkaz został wykonany w pełni.

— A chorzy, panie?

— To oczywiste, że będą zwolnieni. Musimy przede wszystkim respektować humanizm.

— Nie chcę męczyć waszą wysokość, ale pozwolę sobie zaproponować (jeśli uzna za słuszne i jeśli rzecz nie rodzi wielkich trudności) również wyjątek na rzecz ślepych, ponieważ pozbawieni organu wzroku...

— Czy to wszystko? — przerwałem raptownie.

— Przepraszam panie, ale co z zakochanymi? Czy dobrotliwe serce jego wysokości mogłoby przeszkodzić im patrzeć w gwiazdy?

— Dobrze — odpowiada król — odłóżmy to. Pomyślimy o tym wypoczęci. Podasz mi wtedy dokładny wykaz wyjątków.

Dobry Boże, jak wiele trzeba myśleć, zanim wyda się choćby najmniejszą ustawę.

ROZDZIAŁ XV

Najjaśniejsze gwiazdy nigdy nie były tymi, które kontemplowałem z największą przyjemnością. Moimi ulubionymi były te najmniejsze, zagubione w niezmierzonej dali, prawie niedostrzegalne punkty. Powód tego jest prosty: łatwo pojąć, że nakazując mojej wyobraźni przemierzyć taką samą drogę za nimi, jaką mój wzrok przebiega do ich sfery, z łatwością trafiam tam, gdzie dotarło niewielu podróżników. Znalazłszy się tam dziwię się, że jestem wciąż u początku tego wielkiego wszechświata. Czymś absurdalnym jest sądzić, że istnieje granica poza którą bierze początek nicość. Jak gdyby nicość była łatwiejsza do zrozumienia od istnienia! Za ostatnią gwiazdą wyobrażam sobie jeszcze inną, która też nie jest ostatnią. Wyznaczając granice stworzeniu, bez względu na ich oddalenie, tworzy się obraz wszechświata, który jest punktem świetlnym otoczonym przez pustą przestrzeń. Przypomina wtedy samotną lampę zawieszoną w okropnej i mrocznej nicości.

W tym miejscu ukryłem twarz w dłoniach. Chciałem oddalić wszelkie możliwe rozproszenie i nadać mym myślom głębię, jakiej wymaga omawiany przedmiot. Czyniąc nadludzki wysiłek stworzyłem system świata, najbardziej kompletny, jaki się dotąd ukazał. Przedstawiam go w szczegółach. Jest on wynikiem medytacji całego mojego życia. „Myślę, że skoro przestrzeń jest...". Ale to wymaga osobnego rozdziału i zważywszy na wagę materii, będzie on jedynym, któremu nadam tytuł.

ROZDZIAŁ XVI

System Świata

Wierzę, że skoro przestrzeń jest nieskończona, to i takim jest stworzenie. Bóg, w swej wieczności i ogromie przestrzeni, powołał nieskończoność światów.

ROZDZIAŁ XVII

Wyznam jednak w dobrej wierze, że niewiele lepiej rozumiem mój system, niż wszystkie inne systemy zrodzone z wyobraźni starożytnych i nowożytnych filozofów. Ale mój jest lepszy, bo zawiera się w kilku linijkach. A przecież jest ogromny. Wyrozumiały czytelnik zechce zauważyć, że system został zbudowany w całości na szczycie drabiny. Upiększyłbym go jednak komentarzami i notatkami, jeśli w chwili, w której byłem najbardziej zajęty przedmiotem, nie rozproszyłyby mnie czarujące dźwięki, które przyjemnie uderzyły w me ucho. Nigdy nie słyszałem tak melodyjnego głosu, uwzględniając nawet głos Zenaidy; jednego z tych, które brzmią *unisono* ze strunami serca. Ktoś śpiewał tuż obok balladę, z której nie uroniłem ani jednego słowa i która nigdy nie zatarła się w mej pamięci. Słuchając uważnie odkryłem, że głos zdawał się wychodzić z okna, które znajdowało się poniżej mojego. Zasłaniał mi je brzeg dachu, ponad który wystawało moje okno; tak więc niczego nie widziałem. Jednocześnie rosło we mnie pragnienie ujrzenia syreny, która czarowała mnie swymi akordami. Słowa ballady wycisnęłyby łzy z oczu nawet najbardziej nieczułej istoty. Nie mogąc opierać się dłużej ciekawości, wyszedłem na ostatni stopień, położyłem stopę na brzegu dachu i uchwyciwszy ręką dźwigar okna, wychyliłem się na ulicę ryzykując upadek.

Po lewej stronie, trochę poniżej mojego okna, ujrzałem balkon, a na nim młodą kobietę ubraną na biało. Uroczą głowę opierała na wygiętej dłoni, tak, iż mogłem, w świetle gwiazd, dostrzec najbardziej interesujący profil. Jej postawa i smukła talia ukazała się w całej krasie powietrznemu podróżniko-

wi. Jedną nagą stopę wyrzuciła niedbale za siebie i odwróciła tak, że mimo ciemności mogłem dostrzec jej proporcjonalne kształty. Piękny pantofelek, który odchodził od stopy, jeszcze bardziej podkreślał jej urodę. Droga Zofio, pomyśl, jakie ogarnęło mnie wzburzenie. Nie śmiałem wydać najmniejszego okrzyku strachu, aby nie spłoszyć pięknej sąsiadki, ani też wykonać najmniejszego ruchu, aby wypaść na ulicę. Mimowolnie wydałem jedno westchnienie, które po części uleciało wraz z powiewem zefiru. Mogłem więc podziwiać obraz marzycielki, wytrzymując w niebezpiecznej pozycji w nadziei, że raz jeszcze usłyszę jej śpiew. Niestety, skończyła balladę, a zły los nakazywał jej upartą ciszę. Wreszcie, po długim oczekiwaniu, odważyłem się odezwać. Nie chodziło już o godny tej niewiasty komplement i o uczucia, które we mnie wzbudziła. Żałowałem, że nie skończyłem mojego listu dedykacyjnego pisanego wierszem. Mógłbym wykorzystać go w tym miejscu. Jednak mój duch nie opuścił mnie w potrzebie. Zainspirowany łagodnym wpływem gwiazd, a jeszcze bardziej silnym pragnieniem sukcesu, chrząknąłem lekko, aby ją uprzedzić i wydobyć dźwięk najłagodniejszego głosu:

— Noc jest piękna — powiedziałem najczulej, jak tylko umiałem.

ROZDZIAŁ XVIII

Słyszę panią Hautcastel, która nie przepuści niczego i prosi o podanie szczegółów ballady, o której wspomniałem w poprzednim rozdziale. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w trudnej konieczności odmówienia jej. Jeśli zamieściłbym te wersy w mojej podróży, to z pewnością zostałbym uznany za autora, co mogłoby wywołać wiele żartów.

Będę więc kontynuował relację o przygodzie z uroczą sąsiadką. Niespodziewanie złe zakończenie historii, podobnie jak moja taktowność, zainteresują czytelników wszystkich klas. Ale zanim zdradzę, co odpowiedziała i jak odebrała mój zmyślny komplement, to wcześniej muszę odpowiedzieć kilku bardziej elokwentnym osobom, które z pewnością oskarżą mnie, że w ich odczuciu konwersację rozpocząłem banalnie. Udowodnię im jednak, że jeśli przy tak ważnej okazji zacząłbym dowcipkować, to sprzeciwiłbym się otwarcie regułom roztropności i dobrego smaku. Każdy mężczyzna, który wchodzi w konwersację z piękną kobietą wymawiając dobre słowo, komplement, lub jakiekolwiek pochlebstwo, przewiduje pretensje, jakie pojawią się, jeśli będą uzasadnione. Poza tym, jeśli dowcipkuje, to jest jasne, że chce zabłysnąć, a w konsekwencji myśli mniej o damie, a bardziej o sobie. Otóż, kobiety chcą, aby się nimi zajmować. Chociaż nie snują tych samych refleksji, jak te, które przedstawiłem powyżej, to posiadają wyborny i naturalny zmysł, który podpowiada im, że zdanie trywialne, wypowiedziane jedynie po to, by nawiązać konwersację i zbliżyć do siebie zainteresowanych, jest warte tysiąc razy więcej niż dowcipna myśl inspirowana próżnością; jest nawet lepsze (co może

wydać się zaskakujące) od listu dedykacyjnego pisanego wierszem. Co więcej, uważam (moje uczucie jest paradoksem), że lekka i błyskotliwa konwersacja nie jest konieczna w dłuższym związku, jeśli jest on naprawdę stworzony przez serce. Mimo tego wszystkiego, co osoby, które kochały połowicznie, mówią o długich przerwach w żywych uczuciach miłości i przyjaźni, dzień jest zawsze krótki, gdy spędza się go z przyjaciółką, a cisza jest tak samo interesująca, jak rozmowa.

Abstrahując od mojej opinii w tym temacie, przyznaję, że na brzegu dachu nie wymyśliłem niczego lepszego do powiedzenia, niż wypowiedziane słowa. Nie skończyłem jeszcze zdania, a już cała dusza przeniosła się w okolice bębenka w uszach, aby uchwycić najmniejszy szczegół wyczekiwanych dźwięków. Piękna podniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej długie włosy rozpostarły się jak welon i służyły za osnowę jej uroczej twarzy, która odbijała tajemnicze światło gwiazd. Już otwierała usta, a słowa cisnęły się... Jednak wielkie było moje zdziwienie i przerażenie... Usłyszałem złowrogi hałas:

— Co pani robi o tej godzinie? Proszę wracać! — powiedział męski i donośny głos wychodzący z wnętrza apartamentu. Osłupiałem.

ROZDZIAŁ XIX

Taki musi być hałas, jaki przeraża winnych, kiedy nagle otwierają przed nimi płonące wrota Tartaru. Lub jeszcze taki, który pod sklepieniem piekielnym wywołuje siedem katarakt Styksu; i o którym zapomnieli powiedzieć poeci.

ROZDZIAŁ XX

W tym momencie błędny ognik przeciął niebo i równie szybko znikł. Moje oczy, które na chwilę przyciągnęła jasność meteoru, wróciły na balkon, a tam znalazły już tylko pantofelek. Sąsiadka zapomniała o nim w pośpiechu. Długo podziwiałem ten piękny pantofelek, w sam raz na stopę godną dłuta Praksytelesa[14]. Czyniłem to z niewysłowionym, mocnym uczuciem. Mogłoby się wydawać czymś szczególnym, a czego ja sam nie potrafiłbym sobie uświadomić, że mimo czynionych przeze mnie wysiłków, ten zniewalający urok przeszkodził mi odwrócić wzrok i przenieść go na inne przedmioty.

Powiada się, że kiedy wąż spogląda na słowika, to nieszczęsny ptak, ofiara nieodpartego uroku, jest zmuszony do zbliżenia się do żarłocznego gada. Szybkie skrzydła prowadzą go już tylko na zgubę i każdy podejmowany wysiłek w celu oddalenia się, zbliża go do wroga, który spogląda na niego nieuniknionym wzrokiem.

Taki właśnie efekt wywoływał we mnie pantofelek, chociaż nie mogłem z całą pewnością stwierdzić, który z nas jest wężem, tzn. pantofelek, czy ja. Wszak zgodnie z prawami fizyki przyciąganie musiało być wzajemne. Pewne jest, że ten zgubny wpływ nie był wcale grą mej wyobraźni. Byłem tak bardzo realnie i mocno przyciągany, że o mały włos nie wypadłem z okna, luzując rękę. Jednak balkon, na który miałem ochotę wejść, nie znajdował się dokładnie pode mną, ale trochę z boku. Zauwa-

[14] Praksyteles (ok. 400–326) — starożytny rzeźbiarz grecki. Autor takich dzieł, jak: *Afrodyta Knidyjska*, *Apollin Sauroktonos*, *Artemida Brauronia*, *Artemida z Gabii*, *Efeb z Maratonu*, *Eros Farnese*, *Satyr nalewający*.

żyłem, że siła grawitacji wynaleziona przez Newtona łącząc się z ukośnym przyciąganiem pantofelka, sprawiłyby, że mój tor upadku prowadziłby po przekątnej. Upadłbym na budkę wartowniczą, która z wysokości, na której się znalazłem, miała wielkość jajka. Nie trafiłbym do celu... Jeszcze mocniej uchwyciłem się okna i czyniąc zdecydowany wysiłek udało mi się wznieść oczy w górę i spojrzeć w niebo.

ROZDZIAŁ XXI

Miałbym dużą trudność z dokładnym wyjaśnieniem i definicją rodzaju przyjemności, jaką odczułem przy tej okazji. Mogę tylko potwierdzić, że nie miała ona nic wspólnego z tą, jaką wywołał we mnie widok Drogi Mlecznej oraz rozgwieżdżonego nieba. Podobnie jak w najbardziej kłopotliwych sytuacjach życiowych, kiedy zawsze chciałem zrozumieć, co dzieje się w mojej duszy, tak i przy tej okazji pragnąłem stworzyć sobie ideę czystej przyjemności, jaką może odczuć człowiek uczciwy, kiedy podziwia pantofelek damy, przyjemności porównywalnej z tą, jakiej doświadcza kontemplując gwiazdy.

W tym celu wybrałem na niebie najjaśniejszą konstelację. Jeśli się nie mylę, był to tron Kasjopei[15], który znajdował się nad moją głową. Spoglądałem na przemian na konstelację i pantofelek, na pantofelek i konstelację. Zauważyłem, że te dwa wrażenia miały zupełnie różną naturę. Jedno było w mojej głowie, natomiast drugie miało miejsce w okolicy serca. Wyznaję, nie ukrywając wstydu, że pociąg do zaczarowanego pantofelka absorbował wszystkie moje władze. Entuzjazm, jaki wywołał we mnie widok rozgwieżdżonego nieba był już słaby, a wnet całkiem zgasł. Wtedy właśnie usłyszałem hałas otwieranych drzwi balkonowych i ujrzałem małą stopę, bielszą od alabastru, która przesuwała się powoli do przodu i włożyła pantofelek. Chciałem się odezwać, ale nie miałem czasu, aby przygotować się tak, jak za pierwszym razem. Nie odnalazłem już mojego zwykłego stanu ducha. Usłyszałem, jak drzwi balkonowe zamykają się, zanim jeszcze wymyśliłem odpowiednie słowa.

---

[15] Gwiazdozbiór Kasjopei.

ROZDZIAŁ XXII

Mam nadzieję, że poprzednie rozdziały wystarczą, aby odpowiedzieć zwycięsko na oskarżenie pani Hautcastel, która deprecjonowała moją pierwszą podróż pod pretekstem, że nie ma tam nic o miłości. Mojej nowej podróży mogłaby postawić ten sam zarzut. Chociaż moja przygoda z uroczą sąsiadką nie zaszła daleko, to mogę zapewnić, że znalazłem w niej więcej satysfakcji, niż w każdej innej okoliczności, w jakiej mógłbym czuć się bardzo szczęśliwy. Każdy cieszy się życiem na swój sposób.

Sądzę jednak, że nie będę życzliwy dla czytelnika, jeśli nie podzielę się z nim odkryciem, które najbardziej przyczyniło się do mojego szczęścia (jednak pod warunkiem, że zostanie to między nami). Chodzi tylko o nową metodę miłości, dużo bardziej korzystną od wcześniejszej, pozbawioną jakichkolwiek niedogodności. Wynalazek jest polecany osobom, które chciałyby przyjąć mój nowy sposób podróżowania. Myślę, że na pouczenie ich powinienem poświęcić kilka rozdziałów.

ROZDZIAŁ XXIII

Zaobserwowałem w życiu, że kiedy zakochiwałem się według zwyczajnej metody, wtedy moje uczucia nie odpowiadały nigdy moim nadziejom, zaś moja wyobraźnia obracała się w niwecz na wszystkich płaszczyznach. Rozmyślając nad tym uważnie, dochodziłem do wniosku, że jeśli miałbym możliwość, aby ogarniające mnie uczucie do istoty ukochanej rozciągnąć na całą jej płeć, to dostarczyłbym sobie nowych radości, nie kompromitując się przy tym w żaden sposób. Jaki bowiem zarzut można postawić mężczyźnie z pojemnym sercem, który kocha wszystkie urocze kobiety świata?

Tak, pani, kocham je wszystkie. Nie tylko te, które znam, lub mam nadzieję poznać, ale wszystkie, które żyją na powierzchni ziemi. Co więcej, kocham wszystkie kobiety, które istniały i które istnieć będą, nie licząc jeszcze większej ilości, jaką moja wyobraźnia wyciąga z nicości: wszystkie możliwe do zaistnienia kobiety wypełniają wielkie koło moich uczuć.

Przez jaką niesprawiedliwość i dziwactwo miałbym zamknąć moje serce w ciasnych granicach społeczeństwa? Co ja mówię, dlaczego swój rozwój ograniczać do granic królestwa czy nawet republiki?

Siedząc u stóp dębu powalonego przez burzę, pewna indiańska wdowa miesza swe skargi z szumem gwałtownych wiatrów. Na szyi dźwiga broń żołnierza, którego kochała, a żałobny dźwięk uderzeń przywołuje w jej serce pamięć minionego szczęścia. Jednocześnie piorun rysuje chmury, a trupio blade światło błyskawic odbija się w jej nieruchomych oczach. Rośnie stos, na którym spłonie. Sama, osłupiała, bez pociesze-

nia i nadziei czeka na okrutną śmierć, jaką z góry wydany wyrok sprawił, że pragnie jej bardziej od życia.

Jaką łagodną i melancholijną radość odczuwa człowiek zbliżając się do tej nieszczęśliwej, aby ją pocieszyć? Siedzę na trawie obok niej i szukam sposobu, by odwieść ją od strasznej ofiary. Mieszam nasze westchnienia i łzy, staram się oderwać ją od cierpień.

W tym samym czasie całe miasto przybywa do panny d'A***[16], której mąż właśnie zmarł w następstwie apopleksji. Podjęła decyzję, aby skończyć ze swym nieszczęściem. Nieczuła na łzy i modlitwy przyjaciół postanawia zagłodzić się na śmierć. Od samego rana, kiedy ktoś nieroztropnie pojawił się u niej, by przekazać jej tę wiadomość, nieszczęśliwa zjadła tylko jedno ciastko i wypiła mały kieliszek wina Madera. Zwracam przez chwilę uwagę na nieszczęśliwą kobietę, aby nie naruszać prawa mojego systemu świata, po czym oddalam się od niej. Jestem bowiem naturalnie zazdrosny i nie chcę się mieszać z tłumem pocieszycieli, z ludźmi, którym zbyt łatwo przychodzi pocieszanie.

Nieszczęśliwe piękności mają szczególne prawa w mym sercu. Obdarzam je szczególnym uczuciem. Nie osłabia to wcale zainteresowania, jakim darzę istoty szczęśliwe. Taka postawa wiecznie urozmaica przyjemności i pozwala mi przechodzić na przemian od melancholii do wesołości, od uśpionego uczucia do egzaltacji.

Często również tworzę miłosne intrygi w dawnych historiach i wymazuję całe linijki w starych zapisach przeznaczenia. Wiele razy wstrzymałem rękę Werginiusza[17] i ratowałem ży-

---

[16] Skrót w oryginale.

[17] Lucjusz Werginiusz, centurion plebejski w starożytnym Rzymie (w V wieku przed Chrystusem). Zabił swą córkę Werginię wbijając jej nóż w serce. Chciał ją w ten sposób ochronić przed konsekwencjami niesprawiedliwego wyroku sądowego, w wyniku którego została uznana za zbiegłą niewolnicę. Dramat był intrygą Appiusza Klaudiusza, który zemścił się na

cie jego nieszczęsnej córki — ofiary nadmiaru zbrodni i cnoty. Wspomniane wydarzenie przeraża mnie za każdym razem, gdy o nim pomyślę. Nie dziwię się, że stało się przyczyną rewolucji[18]. Mam nadzieję, że osoby rozumne, podobnie jak dusze współczujące, będą mi wdzięczne za polubowne załatwienie tej sprawy. Każdy człowiek, który choć trochę poznał świat, zgodzi się ze mną, że gdyby nie stawiano przeszkód decemwirowi, to ten gwałtowny człowiek nie zhańbiłby dziewczyny. Ojciec Werginiusz uspokoiłby się, a małżeństwo zostałoby zawarte zgodnie z wszystkimi wymaganymi przez prawo formami.

Co się stało z nieszczęśliwym, opuszczonym kochankiem? Co zyskał na tej zbrodni? Skoro jednak chcesz litować się nad jego losem, to powiem ci, moja droga Mario, że sześć miesięcy po śmierci Werginii został nie tylko pocieszony, lecz również dobrze ożeniony. Urodziło mu się kilkoro dzieci. Żona zmarła, ale wnet ponownie się ożenił, tym razem z wdową po trybunie ludowym. Te dotąd nieznane okoliczności zostały odkryte i odczytane z palimpsestu w Bibliotece Ambrozjańskiej przez pewnego włoskiego uczonego antykwariusza. Powiększają one nieszczęśliwie o jedną stronę okropną, a i tak już zbyt długą historię Republiki rzymskiej.

---

dziewczynie za odrzuconą miłość.

[18] Chodzi o obalenie decemwirów przez plebejuszy w 449 roku przed Chrystusem.

ROZDZIAŁ XXIV

Po ocaleniu Werginii uciekam przed jej wdzięcznością. Wykorzystuję ciemność deszczowej nocy, aby służyć pięknym kobietom. Skradam się do grobu młodej westalki, którą barbarzyński Senat rzymski zakopał żywcem za dopuszczenie zgaśnięcia świętego płomienia Westy; czy też dlatego, że się lekko sparzyła. Idę cicho bocznymi ulicami Rzymu, wypełniony wewnętrznym zachwytem, który nierzadko poprzedza dobre uczynki, zwłaszcza te niebezpieczne. Unikam więc starannie Kapitolu, by nie zbudzić gęsi. Prześlizguję się przez Porta Collina i docieram szczęśliwie do grobu. Nikt mnie nie zauważył.

Na głos odsuwanego kamienia nieszczęsna odrywa rozczochraną głowę od wilgotnej posadzki grobu. Widzę ją w promieniu lampy grobowej. Rzuca wokół siebie błędne spojrzenia. Nieszczęśliwa, obłąkana ofiara myśli, że jest już nad brzegami Kokytosu[19].

— Minosie — krzyknęła — nieubłagany sędzio! Prawdą jest, że kochałam na ziemi, wbrew surowym prawom Westy. Jeśli bogowie są tak samo barbarzyńscy, jak ludzie, to otwórz dla mnie przepaści Tartaru! Kochałam i dalej kocham.

— Nie jesteś jeszcze w królestwie zmarłych. Wróć z powrotem na ziemię, do światła i miłości!

Ująłem jej dłoń. Zlodowaciała w zimnym grobie. Wziąłem ją w ramiona, przycisnąłem do serca i wyrwałem ją wreszcie z tego okropnego miejsca. Drżała cała ze strachu i wdzięczności.

---

[19] Rzeka w Hadesie, zwana również „rzeką lamentu”.

Niech mi pani uwierzy, że żaden osobisty interes nie był siłą napędową tego dobrego uczynku. Nadzieja zainteresowania sobą pięknej westalki nie miała żadnego związku z tym, co dla niej zrobiłem. Wróciłbym bowiem do starej metody. Daję słowo podróżnika, że tak długo, jak trwał nasz spacer, od Porta Collina aż do miejsca, w którym znajduje się teraz grób Scypionów, mimo głębokiej ciemności i w chwilach, kiedy jej słabość zmuszała mnie, abym brał ją w ramiona, tak długo nie przestawałem darzyć jej szacunkiem i delikatnością konieczną w jej nieszczęściu. Oddałem ją ukochanemu, który czekał na ulicy.

ROZDZIAŁ XXV

Innym razem, idąc za marzeniami, znalazłem się przypadkowo przy porwaniu Sabinek[20]. Byłem bardzo zaskoczony widząc, że Sabinki przedstawiały zdarzenie zupełnie inaczej niż znałem to z historii. Nic nie słysząc w tym zamęcie ofiarowałem obronę uciekającej kobiecie. Towarzysząc jej nie mogłem powstrzymać śmiechu, kiedy słyszałem wściekłego Sabina wołającego z nutą rozpaczy w głosie:

— Bogowie nieśmiertelni! Dlaczego na to święto nie zabrałem mojej żony?

[20] Kolejna aluzja do historii starożytnego Rzymu. W czasie igrzysk Romulus wydał rozkaz pojmania panien z plemienia Sabinów, co stało się zarzewiem wojny między Rzymianami i Sabinami. Walki zostały wstrzymane na prośbę samych kobiet.

ROZDZIAŁ XXVI

Poza połową rodzaju ludzkiego, dla którego mam dużo czułości, wyznam, że moje serce ma jej wystarczającą ilość dla wszystkich istot żywych, a nawet przedmiotów nieożywionych. Kocham drzewa, które użyczają mi swego cienia; i ptaki, które świergoczą w listowiu; i nocny krzyk sowy; i hałas strumieni. Kocham wszystko… Kocham księżyc.

Śmiejesz się, pani. Łatwo jest obrócić w śmieszność uczucia, których nie doświadczamy. Ale zrozumieją mnie serca podobne do mojego.

Przywiązuję się i obdarzam prawdziwym uczuciem wszystko, co mnie otacza. Kocham drogi, po których idę, fontannę, z której piję. Niełatwo porzucam przypadkowo podniesioną gałąź. Oswoiłem się z nią. A gdy ją zostawiam, to oglądam się za siebie i patrzę na nią. Żałuję opadających liści, a nawet przelotnego zefiru. Gdzie jest teraz ten, który poruszał czarne włosy Elizy, kiedy siedziała przy mnie nad brzegami rzeki Doire, w wigilię naszego wiecznego rozstania? Spoglądała na mnie w smutnej ciszy. Gdzie jest jej wzrok? Gdzie jest ta bolesna i droga chwila?

— Czasie… bezwzględna boskości. Nie przeraża mnie twoja pozorna okrutność. Boję się tylko twych obrzydliwych dzieci, które trzy czwarte naszego życia zamieniają w długą śmierć.

Niestety, ten zefir, to spojrzenie, ten uśmiech są tak ode mnie oddalone, jak przygody Ariadny. W głębi mego serca pozostają już tylko żale i próżne wspomnienia. Smutna mieszanina, na której moje życie utrzymuje się jeszcze, jak statek, który roztrzaskany przez burzę, przez jakiś czas unosi się na po-

wierzchni wzburzonego morza... Wreszcie woda, wlewając się powoli do środka przez złamane deski, zatapia nieszczęśliwy wrak, który znika w otchłani. Pokrywają go fale, burza słabnie, a rybitwa muska samotną i spokojną równinę oceanu.

ROZDZIAŁ XXVII

Muszę zakończyć rozważania o mojej nowej metodzie miłości. Widzę bowiem, że zapada się ona w ciemność. Chciałbym jednak dodać w tym temacie jeszcze kilka wyjaśnień. Ogólnie rzecz biorąc moje odkrycie nie odpowiada wszystkim ludziom i epokom. Mojej metody nie radzę stosować w dwudziestym roku życia. Sam wynalazca nie korzystał z niej w tym wieku. Aby docenić ją w pełni, trzeba doświadczyć wszystkich zmartwień życia, nie zniechęcając się przy tym; a także wszystkich radości, nie odczuwając przy tym odrazy. Łatwo jest postępować zgodnie z moją metodą. Jednak jest ona szczególnie użyteczna w wieku, w którym rozum radzi nam porzucić przyzwyczajenia młodości. Rozum może odegrać rolę pośrednika, który pomaga przejść niezauważenie od przyjemności do mądrości. To przejście, jak zauważyli wszyscy moraliści, jest bardzo trudne. Niewielu ludzi ma szlachetną odwagę, aby zrobić to z wdziękiem. Często po zrobieniu tego kroku nudzą się na drugim brzegu i z powrotem przekraczają fosę. Mają siwe włosy, więc ich czyn jest bezwstydny. Unikną tego bezboleśnie dzięki nowej metodzie czynienia miłości.

Większość naszych przyjemności jest tylko grą wyobraźni. Kluczowe jest więc danie jej niewinnej pożywki, aby odwrócić jej uwagę od przedmiotów, którym musimy odmówić. Mniej więcej tak, jak pokazuje się dzieciom zabawki, kiedy odmawia się im cukierków. W ten sposób mamy czas, aby wzmocnić mądrość, jeszcze o niej nie myśląc. Docieramy do niej drogą szaleństwa, co wielu ludziom ułatwi dostęp.

Sądzę, że nie pomyliłem się żywiąc nadzieję na użyteczność metody. To właśnie sprawiło, że sięgnąłem po pióro. Pozostaje mi tylko bronić się przed naturalnym odruchem miłości własnej, którą mógłbym odczuć zasadnie odsłaniając przed ludźmi podobne prawdy.

ROZDZIAŁ XXVIII

Moja droga Zofio, mam nadzieję, że wszystkie te tajemnice przypomną ci, w jak niewygodnej pozycji zostawiłaś mnie w oknie. Wciąż żyło we mnie uczucie, jakie wzbudził widok ładnej stopy sąsiadki. Z jeszcze większą mocą ponownie poddałem się niebezpiecznemu urokowi pantofelka. Jednak pewne niespodziewane wydarzenie wydobyło mnie z niebezpieczeństwa pośpiesznego pokonania odległości między piątym piętrem a ulicą. Nietoperz, który krążył wokół domu dostrzegł moją nieruchomą postać i najwyraźniej wziął mnie za komin. Zbliżył się nagle i rzucił się na mnie czepiając ucha. Odczułem na policzkach okropny chłód jego wilgotnych skrzydeł. Wszystkie echa Turynu odpowiedziały na wściekły krzyk, jaki wydałem wbrew sobie. Dalecy wartownicy wydali komendę *qui vive*[21] i usłyszałem na ulicy pośpieszny krok patrolu.

Bez większego żalu porzuciłem balkon, który nie oferował mi już żadnej atrakcji. Ogarnął mnie chłód nocy. Lekki dreszcz przeszył mnie od stóp do głów. Przywdziałem ciepły szlafrok. Z żalem zauważyłem, że odczucie zimna, połączone ze zniewagą nietoperza, wystarczyło, by znowu zmienić bieg myśli. Magiczny pantofelek nie miał już w tym momencie większego wpływu niż Warkocz Bereniki[22] lub każda inna konstelacja. Zaraz potem oceniłem, jak bardzo nierozsądnym było spędzenie nocy wystawiając się na złą pogodę, zamiast słuchać rad natury, która nakazuje nam sen. W tym momencie działał na mnie tylko mój rozum. Wykazał mi to, jak twierdzenie Euklidesa.

---

[21] Okrzyk ostrzegawczy.

[22] Warkocz Bereniki — gwiazdozbiór nieba północnego.

Straciłem wyobraźnię i natchnienie. Z konieczności wróciłem do smutnej rzeczywistości. Opłakane istnienie. Warte tyle, co suche drzewo w lesie lub obelisk na środku placu.

Dwie obce maszyny — napisałem — jakimi są głowa i serce człowieka. Porywany kolejno przez te dwie siły sprawcze, w dwu różnych kierunkach, a ta, za którą człowiek akurat idzie, zdaje się być zawsze najlepszą. Szaleństwo natchnienia i uczucia — mówi zimny rozum. Słabość i niepewność rozumu — mówi uczucie. Kto kiedykolwiek ośmieliłby się rozstrzygnąć między nimi?

Myślałem, że dobrze było rozwiązać zagadnienie od razu i zadecydować, któremu z przewodników mogłem powierzyć resztę mojego życia. Czy odtąd mam postępować według głowy, czy serca? Zbadajmy to.

ROZDZIAŁ XXIX

Wypowiadając te słowa poczułem tępy ból w stopie, która wspierała się na szczeblu drabiny. Poza tym byłem bardzo zmęczony utrzymywaniem się w niewygodnej pozycji. Schyliłem się powoli, przewiesiłem nogi na prawą i lewą stronę okna i usiadłem na framudze. W ten sposób zacząłem podróżować na koniu. Zawsze preferowałem ten sposób podróżowania w porównaniu z innymi. Kocham z pasją konie. Jednocześnie, z wszystkich tych, które widziałem lub o których słyszałem, tym, którego najbardziej pragnę mieć jest drewniany koń z *Baśni tysiąca i jednej nocy*[23]. Można na nim podróżować w powietrzu. Wystarczy przekręcić małą śrubę i rusza jak błyskawica.

Otóż, można zauważyć, że mój wierzchowiec przypomina tego z *Baśni tysiąca i jednej nocy.* Ze względu na swe położenie zawieszony na oknie podróżnik na koniu obcuje z niebem i cieszy się imponującym spektaklem natury. Do jego dyspozycji pozostają meteory i gwiazdy. Z drugiej strony, widok domostwa i znajdujących się w nim przedmiotów przywodzą mu na myśl własne istnienie i pozwalają wejść w samego siebie. Jeden ruch głowy przestawia zaczarowaną śrubę, co wystarczy, aby w duszy podróżnika nastąpiła równie szybka, co wspaniała zmiana. Kolejno mieszkaniec ziemi i nieba, jego duch i ciało przebiegają przez wszystkie dane człowiekowi radości.

Przeczułem z góry całą korzyść, jaką mogłem czerpać z mojego wierzchowca. Usadowiłem się w siodle dobrze i wygodnie. Nie obawiałem się ani złodziei, ani błędnych kroków

[23] Chodzi o *Opowieść o hebanowym rumaku*.

mego konia. Uznałem więc, że mam bardzo dobrą okazję, aby zbadać postawiony wcześniej problem wyższości rozumu nad uczuciem lub odwrotnie. Ale powstrzymała mnie pierwsza refleksja, która przyszła mi na myśl.

— Czy mogę ustanowić siebie sędzią w podobnej sprawie? — powiedziałem cicho do siebie. — Ja, który z góry rozstrzygam proces na korzyść uczucia? Ale z drugiej strony, jeśli wykluczę osoby, których serce zwycięża głowę, to kto mi doradzi? Geometra? Ci ludzie zaprzedali się rozumowi. Aby podjąć decyzję należałoby znaleźć człowieka, który otrzymał od natury równą dozę rozumu i uczucia. W chwili podjęcia decyzji te dwie władze byłyby w doskonałej równowadze.

Z drugiej strony, jeśli wykluczę osoby, których serce góruje nad głową, to kogo mógłbym zapytać? Geometrę? Ba, ci ludzie zaprzedali się rozumowi. Aby opisać ten punkt należałoby znaleźć człowieka, który otrzymał od natury równą porcję rozumu i uczucia, a w chwili podjęcia decyzji te dwie władze byłyby w doskonałej równowadze... Rzecz niemożliwa. Łatwiej byłoby wprowadzić równowagę w republice.

Tak więc jedynym kompetentnym sędzią byłby ten, kto nie miałby nic wspólnego ani z jednym, ani z drugim. Człowiek bez głowy i bez serca. Ta dziwna konsekwencja oburzyła mój rozum. Ze swej strony moje serce zaprotestowało, że nie ma żadnego udziału. Jednak wydawało mi się, że myślę słusznie. Pamiętałem też, że w metafizycznych spekulacjach, takich ja tutaj, pierwszorzędni filozofowie często doprowadzali swe wnioskowania do okropnych wyników, które wpływały na szczęście społeczności ludzkiej. Pocieszałem się więc, że wynik mych spekulacji przynajmniej nie wyrządzi nikomu zła.

Pozostawiałem problem nierozstrzygnięty i postanowiłem, że przez wszystkie pozostałe dni będę kierował się na przemian głową i sercem, według tego organu, który akurat przeważy. Myślę, że jest to najlepsza metoda, chociaż tak naprawdę, jak dotąd nie przyniosła mi wielkiego szczęścia.

Nieważne. Idę, schodząc po szybkiej ścieżce życia, bez strachu i planów, ciesząc się i płacząc na przemian, a często jednocześnie. Gwiżdżę jakąś starą arię, by nie nudzić się w drodze. Innym razem, zrywam margerytkę w zakątku żywopłotu. Zrywam z niej liście, jeden po drugim, mówiąc:

— Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje.

Ostatni prawie zawsze przynosi „żartuje". Rzeczywiście, Eliza już mnie nie kocha...

W tym samym czasie odchodzi całe pokolenie żywych. Podobne jest do wielkiej fali, która zabierając mnie po drodze, uderzy wnet o brzeg wieczności. I jakby burza życia nie była wystarczająco gwałtowna, jakby zbyt wolno pchała nas do granic istnienia, tak narody masowo zarzynają się w biegu. Uprzedzają wyznaczony przez naturę czas. Zdobywcy, których wciągnął szybki wir czasu, zabawiają się wyrzucaniem tysięcy ludzi na bruk. Panowie, co sobie myślicie? Poczekajcie... ci dobrzy ludzie szli na piękną śmieć. Czy nie widzicie zbliżającej się fali? Pieni się już blisko brzegu... Poczekajcie, w imię nieba, jeszcze chwilę! Wy i wasi wrogowie, ja i margerytki, wszyscy zginiemy! Czy można nadziwić się podobnemu szaleństwu?

Zatem, ten punkt został rozwiązany. Od tej chwili nie będę już wyrywał płatków margerytkom.

ROZDZIAŁ XXX

Światła logika pozwoliła mi znaleźć i narzucić sobie ostrożną regułę postępowania. Opisałem ją w poprzednich rozdziałach. Do omówienia pozostał jeszcze jeden bardzo ważny punkt. Chodzi o decyzję dotyczącą podjętej podróży. Nie wystarczy bowiem wybrać środka lokomocji: powozu lub konia. Trzeba jeszcze wiedzieć, dokąd chce się jechać. Zmęczyły mnie prowadzone wcześniej badania metafizyczne, dlatego chciałem przez chwilę odpocząć nie myśląc o niczym. Dopiero potem wybrać miejsce na kuli ziemskiej. Taki sposób postępowania również jest moim wynalazkiem i często okazywał się bardzo skuteczny. Ale nie wszystkim ludziom dane jest wiedzieć, w jaki sposób należy z niego korzystać. Łatwo jest opisać przedmiot, którym ktoś zajmuje się intensywnie, ale trudno, gdy chodzi o nagłe wstrzymanie myśli tak, jak wstrzymuje się wahadło zegara.

Molier niesłusznie ośmieszył człowieka, który zabawiał się robieniem kółek w studni[24]. Jeśli o mnie chodzi, to jestem skłonny wierzyć, że był on filozofem, który posiadł moc zawieszenia działania swego umysłu po to, by odpocząć. Jest to jedno z najtrudniejszych działań, jakie może wykonać duch ludzki. Osoby, które otrzymały taką zdolność nie pragnąc jej oskarżą mnie o plagiat i będą domagały się pierwszeństwa wynalazku. Ale stan mojego bezruchu intelektualnego jest zupełnie inny od tego, który przypadł im w udziale, a którego pan Necker stworzył apologię[25].

---

[24] Aluzja do dzieła Moliera pt. *Mizantrop* (*Le Misanthrope*, 1666).

[25] J. Necker (1732–1804). Ekonomista i polityk, ojciec Madame de Staël. Aluzja do *Le Bonheur des Sots* (Paris 1782).

Mój stan nie jest chwilowy, ani też narzucony. Aby cieszyć się nim w pełni, zamknąłem oczy i wsparłem się na oknie tak, jak zmęczony rycerz opiera się o kulę siodła. Wnet wspomnienie przeszłości, poczucie teraźniejszości i przewidywanie przyszłości unicestwiły się w mej duszy.

Ten sposób istnienia mocno faworyzuje nadejście snu. Po chwili radości poczułem, że moja głowa opadła na pierś. Otworzyłem zaraz oczy i moje myśli podjęły swój bieg. Jest to dowód, że rodzaj dobrowolnego letargu różni się od snu. Zostałem obudzony przez sam sen. Wypadek, który z pewnością nigdy nikomu się nie przydarzył.

Wznosząc spojrzenie w niebo ujrzałem Gwiazdę Polarną, która świeciła nad kalenicą domu. Odebrałem to jako dobrą wróżbę w chwili, w której zamierzałem podjąć moją długą podróż. Odpoczynek przywrócił wyobraźni wszystkie siły. Serce było gotowe na odbiór najdelikatniejszych wrażeń. Przejściowe unicestwienie myśli wzmocniło jego energię. Głębia żalu, jaką moje niepewne położenie w świecie nakazywało mi ślepo doświadczać, została zastąpiona przez żywe uczucie nadziei i odwagi. Czułem się zdolny stawić czoło życiu oraz wszystkim nieszczęśliwym i szczęśliwym zdarzeniom.

Gwiazdo błyszcząca — napisałem w ekstazie zachwytu — niezrozumiały tworze wiecznej myśli. Jako jedyna, nieruchoma na niebie, czuwasz od dnia stworzenia nad połową ziemi. Prowadzisz żeglarza po pustyni oceanu, a twój widok często podtrzymywał nadzieję i życie w marynarzu, którego nękała burza. Jeśli pogodna noc pozwalała mi kontemplować niebo, to zawsze szukałem ciebie pośród innych. Bądź ze mną, światło nieba! Niestety, ziemia opuszcza mnie. Bądź dzisiaj moim doradcą i przewodnikiem. Powiedz mi, gdzie jest miejsce na ziemi, w którym powinienem osiąść?

W trakcie mojej inwokacji gwiazda zdawała się promieniować bardziej niż zwykle. Dawała znaki na niebie, abym poddał się jej opiekuńczej opiece.

Nie wierzę w przeczucia, ale wierzę w opatrzność Boską, która prowadzi mnie nieznanymi środkami. Każda chwila naszego istnienia jest nowym stworzeniem, aktem wszechmocnej woli. Niestały porządek, który tworzy coraz to nowe formy oraz niewyjaśnione zjawiska chmur, jest determinowany w każdej chwili i w najmniejszej części tworzącej je wody. Zdarzenia z naszego życia nie mają innej przyczyny, a przypisywanie ich przypadkowi byłoby szczytem szaleństwa. Mogę nawet zapewnić, że kilka razy dostrzegłem niewidzialne nici, za pomocą których Opatrzność oddziałuje na największych ludzi, niczym na marionetki, kiedy oni myślą, że sami kierują światem. Mały powiew dumy, jaką tchnie w serce wystarczy, aby zniszczyć całe armie, wywrócić do góry nogami cały naród. Mocno wierzyłem w rzeczywistość zaproszenia. Gwiazda Polarna dała mi znak, że mam iść na północ. Chociaż nie miałem w tych oddalonych regionach żadnego upodobanego miejsca, ani określonego celu, to następnego dnia, kiedy wyruszałem z Turynu, wyszedłem przez bramę *Palais*, która znajduje się w północnej części miasta. Przeświadczony byłem, że Gwiazda Polarna nie opuści mnie.

ROZDZIAŁ XXXI

W pewnym momencie mojej podróży zmuszony byłem zsiąść szybko z konia. Nie zwróciłbym uwagi na ten szczegół, gdyby nie to, że chciałem podać informację o kilku małych niedogodnościach; użyteczną dla tych osób, które chciałyby zastosować ten sposób podróżowania.

Okna zasadniczo nie zostały wynalezione dla nowego, wymyślonego przeze mnie użytku. Konstruktorzy nie myślą o tym, aby nadać im wygodny i zaokrąglony kształt siodła angielskiego. Mam nadzieję, że inteligentny czytelnik zrozumie, bez podania innych wyjaśnień, bolesną przyczynę, która zmusiła mnie do zrobienia przerwy. Zszedłem z trudem i zrobiłem na piechotę kilka rund wzdłuż mojego pokoju, aby przyjść do siebie. Rozmyślałem przy tym na temat mieszaniny cierpienia i przyjemności, którymi usiane jest życie, a także o rodzaju fatalności, która czyni ludzi niewolnikami banalnych okoliczności. Po czym pośpieszyłem, aby ponownie wsiąść na konia, wyposażony w poduszkę z edredonem: czego nie ośmieliłbym się zrobić kilka dni wcześniej, z obawy o narażenie się na drwiny kawalerii. Ale napotkawszy w wigilię u bram Turynu oddział kozaków, którzy przybywali na podobnych poduszkach z brzegów Sywaszu[26] oraz Morza Kaspijskiego, uznałem, że mogę skorzystać z podobnego rozwiązania. Nie naruszyłem przy tym zasad jeździectwa, dla których mam wielki szacunek.

Uwolniony od nieprzyjemnej dolegliwości, której odgadnięcie zostawiłem czytelnikowi, mogłem się zająć spokojnie moim planem podróży.

[26] Zwany również Morzem Zgniłym. Położony na Krymie.

Jedna z trudności, która martwiła mnie najbardziej i uparcie tkwiła w mej głowie, polegała na tym, że chciałem wiedzieć, czy robię dobrze lub źle opuszczając ojczyznę, której połowa sama mnie opuściła. Kwestia była zbyt ważna, aby podjąć lekkomyślną decyzję. Rozmyślając nad słowem „ojczyzna" spostrzegłem, że nie wiedziałem dokładnie, czym ona jest.

Moja ojczyzna? Czym jest ojczyzna? Czy chodzi o zbiór domów, pól i rzek? Nie sądzę. Czy może o rodzinę, przyjaciół, którzy tworzą ojczyznę? Ale oni już ją opuścili. Czy zatem chodzi o rząd? Ale ten się zmienił. Gdzie jest więc moja ojczyzna?

Wpadłem w zakłopotanie. Przetarłem dłonią czoło. Miłość ojczyzny jest bardzo mocna. Żale, jakich doświadczałem na samą myśl o opuszczeniu mojej, dowodziły mocno jej realności. Wolałbym zostać na koniu do końca życia, raczej niż porzucić nierozwiązaną trudność.

Spostrzegłem wnet, że miłość ojczyzny zależy od kilku połączonych elementów, to znaczy od przyzwyczajenia, którego człowiek nabywa od dzieciństwa, okolicy oraz rządu. Dalej chodziło już tylko o zbadanie, w jaki sposób te trzy bazy tworzą ojczyznę, a każda z nich robi to na swój sposób.

Przywiązanie do rodaków zależy ogólnie od rządu i nie jest niczym innym, jak tylko dawanym wspólnocie poczuciem siły oraz szczęścia. Prawdziwe przywiązanie ogranicza się do rodziny i małej liczby jednostek, którymi otaczamy się na co dzień. Wszystko, co niszczy zwyczaj lub łatwość spotkania, czyni ludzi wrogami: łańcuch gór tworzy z jednej i z drugiej strony wrogich sobie zagórzan. Mieszkańcy prawego brzegu rzeki uważają się za lepszych od tych mieszkających na lewym brzegu, a ci z kolei drwią sobie z sąsiadów. Taką postawę można dostrzec w wielkich miastach, podzielonych rzeką, mimo mostów łączących brzegi. Różnica języka tym bardziej oddala ludzi od tego samego rządu. Wreszcie, sama rodzina, ognisko prawdziwego uczucia, jest często rozproszona w ojczyźnie. Zmienia się stale w kształcie i liczbie. Może też zostać prze-

niesiona. Zatem, ani w naszych rodakach, ani w rodzinie nie należy szukać absolutnie miłości ojczyzny.

Okolica wpływa na przywiązanie co najmniej tak samo, jak nasze przywiązanie do kraju rodzinnego. W tym miejscu pojawia się bardzo interesujące pytanie: od samego początku dostrzegano, że górale wszystkich ludów są najbardziej przywiązani do swej krainy, natomiast ludy nomadyczne zamieszkują zazwyczaj wielkie równiny. Co jest przyczyną tej różnicy w przywiązaniu ludów do miejsca? Jeśli się nie mylę, to w górach ojczyzna ma swoją fizjonomię, której z kolei nie ma wcale na równinie. To kobieta bez twarzy, której nie można pokochać, mimo wszystkich jej dobrych wartości. Co zostaje z małej ojczyzny mieszkańca drewnianej wsi po przejściu wroga, kiedy wieś zostaje spalona, a drzewa ścięte? Nieszczęśliwy szuka daremnie, na jednostajnej linii horyzontu, jakiegoś znanego przedmiotu, który mógłby przywołać jakieś wspomnienia. Nie znajduje żadnego. Każdy punkt przestrzeni przedstawia mu ten sam widok i tę samą wartość. Przez to człowiek jest nomadą, o ile charakter rządu nie zatrzyma go na miejscu. Ale jego siedziba będzie tu czy tam, nieważne. Jego ojczyzna jest wszędzie tam, gdzie działa rząd. Ma tylko pół-ojczyznę. Góral przywiązuje się do przedmiotów, na które patrzy od samego dzieciństwa, a które mają widzialne i niezniszczalne kształty. Z każdego miejsca w dolinie widzi i rozpoznaje swoje pole na pochyłym zboczu. Szmer strumienia, który przelewa się przez skały, nigdy nie ustaje. Droga, która prowadzi do wsi, zakręca, by ominąć nieruchomą skałę z granitu. We śnie widzi zarys gór, który maluje się w jego sercu, tak jak ktoś, kto przez długi czas oglądał witraże okna, dostrzega je wciąż po zamknięciu oczu. Wyryty w jego pamięci obraz jest częścią jego samego i nigdy się nie zaciera. Wreszcie, same wspomnienia wiążą się z okolicą. Ale muszą mieć przedmioty, których pochodzenie jest nieznane i których koniec jest nieprzewidywalny. Stare budowle i mosty, wszystko, co ma charakter wielkości i trwałości,

zastępuje częściowo góry w przywiązaniu do okolicy. Jednak pomniki natury mają większą moc oddziaływania na serce. Aby nadać Rzymowi godny przydomek, Rzymianie nazwali go „miastem siedmiu wzgórz”. Przyjęty zwyczaj nie może nigdy ulec zniszczeniu. Góral w podeszłym wieku nie lubi większych miast, zaś mieszkaniec miast nie stanie się już góralem. Stąd wziął się być może jeden z największych dzisiejszych pisarzy, który genialnie odmalował pustynie Ameryki, uznał Alpy za zbyt ciasne miejsce, a Mont-Blanc zdecydowanie za mały[27].

Udział rządu jest oczywisty: jest on pierwszą podstawą ojczyzny. To on tworzy wzajemne przywiązanie ludzi i wyzwala w nich energię. Rząd wzmacnia miłość ludzi do zamieszkiwanego miejsca. Tylko on, poprzez wspomnienia szczęścia lub chwały, może przywiązać ludzi do ziemi, która ich zrodziła.

Gdy rząd jest dobry, wtedy miłość do ojczyzny jest bardzo mocna. Kiedy psuje się, wtedy ojczyzna choruje. A kiedy zmienia się, wtedy ojczyzna umiera. Tworzy się nowa ojczyzna i każdy staje się panem swego wyboru: uznać ją, czy też wybrać inną.

Kiedy cała społeczność Aten opuściła miasto zawierzając Temistoklesowi, to czy pozostawili swą ojczyznę, czy też zabrali ją ze sobą na okrętach?[28]

Kiedy Koriolan...[29]

Mój Boże, w jaką dyskusję wszedłem! Zapominam, że jestem na koniu na moim oknie.

---

[27] Gustave Aimard (1818–1883), pisarz francuski, autor powieści przygodowych. Pisał sporo o Ameryce Łacińskiej, co tłumaczy aluzję w *Nocnej wyprawie dookoła mojego pokoju*.

[28] Temistokles opracował plan ewakuacji obywateli Aten na Salaminę po przegranej pod Termopilami.

[29] Bohater tytułowej tragedii Williama Shakespeare’a (1607). Sztuka nawiązuje do fragmentów *Żywotów równoległych* Plutarcha oraz do *Ab Urbe condita* Liwiusza. Gnejusz Marcjusz Koriolan był legendarnym żołnierzem rzymskim i przeciwnikiem plebejuszy.

ROZDZIAŁ XXXII

Miałem starszą matkę chrzestną, bardzo żywotną i z którą rozmowy były jednymi z tych najbardziej interesujących. Ale jej pamięć, jednocześnie niestała i bogata, wiodła ją często od zdarzeń do zdarzeń i od dygresji do dygresji. Do tego stopnia, że musiała prosić o pomoc słuchaczy:

— Co chciałam wam opowiedzieć? — mówiła, a sami słuchacze zapominali, o czym miała mówić, przez co wpadali w niewysłowione zakłopotanie. Otóż, łatwo dostrzec, że ten sam wypadek przydarza mi się często w mych opowieściach. Muszę przyznać, że plan i porządek mojej podróży są dokładną kopią planu konwersacji z moją ciocią. Ale nie zwracam się do nikogo o pomoc, ponieważ zauważyłem, że mój przedmiot powraca sam i to w chwili, w której najmniej się tego spodziewam.

ROZDZIAŁ XXXIII

Osoby, które nie akceptują mojej rozprawy na temat ojczyzny, powinny zostać uprzedzone, że od pewnego czasu dopada mnie sen; mimo podejmowanych wysiłków, by go zwalczyć. Nie jestem pewny, czy jeśli teraz zasnę, to niesamowite rzeczy, które opowiem, będą owocem snu czy nadprzyrodzonej wizji.

Zobaczyłem świecący obłok, który zbliżał się powoli do mnie i opadł na mnie niczym przeźroczysty welon. Ujrzałem młodą osobę, która miała dwadzieścia dwa lub trzy lata. Na próżno szukałem słów, aby opisać uczucie, jakie wywołał we mnie jej widok. Postać promieniowała dobrocią i życzliwością. Emanowała urokiem młodości i marzeń o szczęśliwej przyszłości. Jej spojrzenie, łagodny uśmiech i wszystkie inne cechy tworzyły w mych oczach istotę idealną, której moje serce szukało od dawna, choć straciłem już wiarę, że spotkam ją kiedykolwiek.

Kontemplowałem ją w rozkosznej ekstazie. Ujrzałem Gwiazdę Polarną rozbłyskującą między puklami czarnych włosów. Poruszył je wiatr północy i w tej samej chwili usłyszałem słowa pocieszenia. Słowa? Było to tajemnicze wyrażenie myśli niebiańskiej, która przed mym umysłem odkrywała przyszłość. W tym samym czasie zmysły pozostawały związane przez sen. Odezwał się proroczy głos przyjaznej gwiazdy. Jego sens spróbuję wyrazić w języku ludzkim.

— Twoje zaufanie do mnie nie zawiedzie cię — powiedziała głosem, który zabrzmiał jak dźwięk eolskich harf. — Spójrz, oto towarzyszka, jaką dla ciebie zachowałam. Oto dobro, do którego dążą nadaremnie ludzie. Myślą oni, że szczęście

jest kalkulacją i proszą ziemię o to, co mogą otrzymać tylko z nieba.

Po tych słowach meteor znikł w głębi niebios. Powietrzna boskość rozproszyła się w mgłach zalegających horyzont. Ale oddalając się rzuciła na mnie spojrzenie, które wypełniło me serce ufnością i nadzieją.

Chciałem ruszyć za nią galopem i z całych sił spiąłem konia. Ale zapomniałem przypiąć ostrogi i z taką siłą uderzyłem prawą piętą w róg dachówki, że ból poderwał mnie na równe nogi.

ROZDZIAŁ XXXIV

Wypadek wpłynął korzystnie na geologiczną część mojej podróży. Otrzymałem okazję, aby dokładnie poznać wysokość mojego pokoju, licząc od poziomu nanosów, na których zbudowano miasto Turyn.

Moje serce biło bardzo mocno. Naliczyłem trzy i pół uderzenia od chwili, w której spiąłem konia, aż do hałasu wywołanego moim pantoflem, który spadł na ulicę. Licząc czas potrzebny ciałom w ich ruchu przyśpieszonym oraz czas płynięcia fal dźwiękowych w powietrzu, które dotarły z ulicy do mojego ucha, określiłem wysokość mojego okna na dziewięćdziesiąt cztery stopy, trzy linie i dziewięć dziesiątych linii od poziomu bruku w Turynie; przy założeniu, że moje serce, wzruszone przez marzenie senne, biło sto dwadzieścia razy na minutę, co nie może być dalekie od prawdy. Po tym, jak opowiedziałem o intrygującym pantofelku pięknej sąsiadki, ośmieliłem się wspomnieć również o moim; ale tylko w odniesieniu do nauki. Jednocześnie pragnę uprzedzić, że ten rozdział nie jest przeznaczony jedynie dla uczonych.

ROZDZIAŁ XXXV

Wspaniała wizja, którą cieszyłem się przed chwilą, sprawiła, że po przebudzeniu jeszcze mocniej odczułem okropne odizolowanie. Spoglądałem wokół siebie i widziałem tylko dachy i kominy. Niestety, zawieszony na piątym piętrze między niebem a ziemią, otoczony oceanem żalów, pragnień i niepokojów, trzymałem się istnienia tylko dzięki słabemu promieniowi nadziei: fantastyczne oparcie, którego kruchość odkrywałem zbyt często.

Wkrótce zwątpienie pojawiło się w sercu wraz z całym rozczarowaniem życia. Zdawało mi się, że Gwiazda Polarna zadrwiła ze mnie. Niesprawiedliwa nieufność, za którą Gwiazda skazała mnie na dziesięć lat oczekiwania. Gdybym tylko mógł przewidzieć, że wszystkie te obietnice zostaną spełnione i że pewnego dnia odnajdę na ziemi wspaniałą istotę, której obraz zaledwie dostrzegłem w niebie...

Droga Zofio, gdybym wiedział, że moje szczęście przewyższy wszystkie nadzieje... Ale nie należy uprzedzać wydarzeń. Powracam do mojego przedmiotu. Nie chcę ryzykować interwencji metodycznego i surowego porządku, jakiemu podporządkowałem się redagując moją podróż.

ROZDZIAŁ XXXVI

Zegar dzwonnicy kościoła Saint-Philippe wolno wybił północ. Liczyłem jeden po drugim uderzenia dzwonu, a ostatnie wydobyło ze mnie westchnienie:

– Oto więc — mówię — kolejny dzień odrywa się od mego życia i chociaż słabnące drżenie spiżu wciąż dzwoni w mych uszach, to część mojej podróży przed północą jest już równie daleko za mną, jak podróż Odyseusza i Jazona. Chwile i wieki mają taką samą długość w przepastnej przeszłości. A czy przyszłość jest bardziej rzeczywista?

Utrzymuję się w równowadze między podwójną nicością, jak na ostrzu żyletki. Czas wydaje mi się czymś tak niepojętym, że byłbym skłonny uznać, że nie istnieje w rzeczywistości, a to, co w ten sposób nazywamy, jest niczym innym, jak karą myśli.

Cieszyłem się z odnalezienia definicji czasu tak samo ciemnej, jak i sam czas, kiedy inny dzwon wybił północ, co wywołało we mnie niemiłe uczucie. Drażni mnie bezużyteczne zajmowanie się nierozwiązywalnym problemem, a to drugie uderzenie dzwonu było czymś zupełnie nie na miejscu, zwłaszcza dla takiego filozofa, jak ja. Jednak kilka sekund później wpadłem w prawdziwy gniew, kiedy z daleka usłyszałem trzeci dzwon, tym razem z klasztoru kapucynów usytuowanego na drugim brzegu Pô. Jak na złość, po raz kolejny wybijał północ.

Kiedy moja ciotka wzywała starą pokojówkę, trochę szorstką, a którą jednak bardzo lubiła, to w swej niecierpliwości nie ograniczała się do zadzwonienia jeden raz, ale pociągała za sznur dzwonka aż do momentu, w którym pojawiła się wezwana.

— Proszę przyjść, pani Branchet! — A ta zdenerwowana, że jest w ten sposób pośpieszana, odpowiadała uszczypliwie:

— Idziemy, idziemy.

Taki właśnie nastrój ogarnął mnie, kiedy usłyszałem niedyskretny dzwon kapucynów, który po raz trzeci wybijał północ.

Wiem o tym — pisałem — wyciągając ręce w stronę zegara. Tak, wiem, że jest północ. Wiem o tym zbyt dobrze.

Niewątpliwie to przez podstępną radę złośliwego ducha ludzie nakazali tej godzinie dzielić dni. Zamknięci w swych mieszkaniach śpią lub bawią się, podczas gdy ona przecina jedną z nici ich istnienia. Następnego dnia wstają radośnie nie myśląc o tym, że mają kolejny dzień. Na próżno proroczy głos dzwonu zapowiada im zbliżanie się wieczności, na próżno powtarza im smutno każdą godzinę, która właśnie upłynęła. Nie słyszą niczego. Albo słyszą, lecz nie rozumieją. Północ... Okropna godzina... Nie jestem przesądny, ale ta godzina wywołuje we mnie zawsze rodzaj obawy. Mam przeczucie, że jeśli umrę, to będzie to o północy. Czy umrę więc pewnego dnia? Jak umrę? Ja, który mówię, ja, który czuję i dotykam siebie, czy mogę umrzeć? Mam pewne wątpliwości. Wszak to, że inni umierają jest czymś bardzo naturalnym. Widzę to każdego dnia. Widzę, jak odchodzą, przyzwyczajam się. Ale umrzeć samemu! Umrzeć jako osoba! To trochę mocne.

— I wy panowie, dla których moje refleksje są bezładną gadaniną, wiedzcie, że w taki sposób myśli cały świat, w tym również i wy. Nikt nie myśli o tym, że musi umrzeć. Jeśli istniałaby rasa ludzi nieśmiertelnych, to idea śmierci przerażałaby ich bardziej niż nas.

Jest w tym coś niewyjaśnionego. Jak to jest, że ludzie, nie mając nadziei i nie łudząc się odnośnie przyszłości, tak mało martwią się, że przyszłość przyniesie im to, co nieuchronne? Czy to nie sama dobrotliwa natura dała nam szczęśliwą beztroskę, abyśmy w spokoju mogli wypełnić nasze przeznaczenie? Myślę, że można być bardzo uczciwym człowiekiem nie

dorzucając do prawdziwych cierpień życia postawy ducha, która niepokoi wyobraźnię przygnębiającymi refleksjami. Wreszcie, myślę, że w każdej dobrej okazji trzeba pozwolić sobie na śmiech lub co najmniej uśmiech.

W ten sposób zakończyła się medytacja, do której zainspirował mnie zegar kościoła Saint-Philippe. Kontynuowałbym ją, gdyby nie rodzące się skrupuły na temat przedstawionej przeze mnie surowej moralności. Ale nie chciałem zgłębiać tej wątpliwości. Zagwizdałem melodię z *Folie d'Espagne*[30], która potrafi przywrócić właściwy bieg myśli, kiedy zbaczają z drogi. Rezultat był tak szybki, że natychmiast zakończyłem przejażdżkę konną.

---

[30] *Folie d'Espagne*, czy *La Folia*, popularny i jeden z najstarszych europejskich tematów muzycznych.

ROZDZIAŁ XXXVII

Zanim wróciłem do mojego pokoju, rzuciłem okiem na Turyn i mroczną wieś. Prawdopodobnie miałem opuścić je na zawsze. Skierowałem do nich moje ostatnie pożegnanie. Nigdy noc nie wydała mi się tak piękna. Nigdy spektakl, jaki odgrywał się przed moimi oczami, nie interesował mnie tak żywo. Złożyłem ukłon górze i świątyni Supergue, pożegnałem wieże, dzwonnice, wszystkie znane przedmioty, o których nie sądziłem, że mógłbym żałować ich z taką siłą; wraz z powietrzem, niebem oraz rzeką, której głuchy pomruk zdawał się odpowiadać na moje pożegnanie. Gdybym tylko umiał namalować czułe i delikatne uczucie, które wypełniało moje serce i wszystkie wspomnienia najpiękniejszej połowy minionego życia, które otoczyły mnie jak chochliki chcąc zatrzymać mnie w Turynie. Ale nie. Wspomnienia minionego szczęścia są jak bruzdy duszy. Kiedy jest się nieszczęśliwym, to trzeba je przegnać z myśli, jak szydzące upiory, które pojawiają się, by ubliżać nam w naszym położeniu. Lepiej jest więc tysiąc razy poddać się zwodniczym iluzjom nadziei. Trzeba zwłaszcza robić dobrą minę do złej gry i strzec się wtajemniczenia kogokolwiek w swoje nieszczęścia. W codziennych podróżach, jakie odbywam wśród ludzi, zauważyłem, że człowiek wiecznie nieszczęśliwy staje się śmieszny. W tych okropnych momentach nic nie jest bardziej odpowiednie, jak nowy sposób podróżowania, którego opis przedstawiłem powyżej. Zrobiłem mocne postanowienie; zapominam o przeszłości, ale również o moich teraźniejszych troskach. Pocieszam się mówiąc, że czas zabierze je wszystkie. Idzie zabierając wszystko i niczego nie zapomina. Czy chcemy

go zatrzymać, czy też pchnąć go do przodu, nasze wysiłki są równie daremne i niczego nie zmieniają w jego stałym biegu. W niewielkim stopniu niepokoję się jego szybkim upływem. Niemniej w takich okolicznościach i takim splocie myśli przypomina mi o tym w uderzający sposób.

Kiedy ludzie milczą, kiedy demon hałasu siedzi cicho na środku swej świątyni w centrum uśpionego miasta, wtedy czas podnosi głos i staje się słyszalny dla mej duszy. Cisza i ciemność wyrażają go. Odkrywają przede mną jego tajemniczy przepływ. Już nie tylko rozumny byt jest w stanie zrozumieć myśl o czasie: doświadczają go moje zmysły. Widzę go na niebie, kiedy przegania gwiazdy na zachód. To on pcha fale na morzu i spowija mgłą rozciągłe wzgórze... Nasłuchuję: wiatry jęczą z wysiłku szybkich skrzydeł i daleki dzwon drży w swym okropnym przejściu.

Korzystajmy z jego biegu — napisałem. Chciałem pożytecznie spędzić chwile, które mi zabierze. Pragnąłem skorzystać z tego dobrego rozstrzygnięcia. Dokładnie w tej samej chwili wychyliłem się do przodu, aby odważnie rzucić się w bieg życia, z charakterystycznym mlaśnięciem języka, które od zawsze oznaczało rozkaz ruszenia dla konia, ale nie jest możliwe do opisania zgodnie z regułami ortografii:

Ly ly! Ly ly! Ly ly!

I moją wycieczkę na koniu zakończyłem galopem.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Podniosłem prawą stopę. Chciałem zejść, ale poczułem dosyć mocne uderzenie na ramieniu. Skłamałbym mówiąc, że nie przestraszyłem się. W tym miejscu jest okazja, aby pokazać czytelnikowi i dowieść mu, bez nadmiaru próżności, jak trudno byłoby każdemu innemu odbyć podobną podróż. Jeśli nawet nowy podróżnik otrzyma tysiąc razy więcej środków i talentów do obserwacji, których ja nie mogę mieć, to czy może pochlebiać sobie, że przeżyje przygody tak samo wyjątkowe i liczne, jak te, które ja sam przeżyłem w ciągu ostatnich czterech godzin, a które są owocem mego przeznaczenia? Jeśli kto wątpi, to niech zgadnie, kto próbował mnie uderzyć...

W pierwszym momencie mojego wzburzenia, nie myśląc o sytuacji, w której się znalazłem, uwierzyłem, że mój koń wierzgnął lub że zahaczyłem o drzewo. Bóg jeden wie, jak wiele mrocznych myśli przewinęło mi się przez głowę w jednej krótkiej chwili, kiedy odwróciłem głowę, aby zajrzeć do mojego pokoju. Zobaczyłem więc, jak to się często dzieje w przypadku zdarzeń, które wydają się być najbardziej nieprawdopodobnymi, że przyczyna mojego zaskoczenia była całkiem naturalna. Ten sam powiew wiatru, który na początku mojej podróży otworzył okno, zatrzasnął po drodze drzwi, częściowo wślizgnął się między zasłony łóżka, wpadł z hukiem do pokoju. Otworzył gwałtownie drzwi i wyleciał przez okno, popychając witraż w kierunku mego ramienia. To mnie właśnie zaskoczyło, o czym wspomniałem przed chwilą.

Przypomnę, że uderzenie wiatru wyrwało mnie kiedyś z łóżka. Uderzenie, które otrzymałem przed chwilą, było naj-

widoczniej zaproszeniem, by do niego wrócić. Czułem się zobligowany, aby udać się tam.

Niewątpliwie piękną sprawą jest zachować bliskie relacje z nocą, niebem i meteorami oraz wykorzystać ich wpływ. Przymusowe relacje z ludźmi są dużo bardziej niebezpieczne. Wiele razy dałem się oszukać tym panom. Napisałem nawet coś o tym w przypisie, który potem skreśliłem, ponieważ rozrósł się do wielkości większej od całego tekstu. Naruszyłoby to właściwe proporcje mojej podróży, której mały rozmiar jest największą wartością.

Koniec *Nocnej wyprawy dookoła mojego pokoju*.

Dodatek

Prospekt wyprawy aerostatycznej w Chambéry

opublikowany 1 kwietnia 1784 roku, bez nazwiska autorów, w imieniu subskrybentów

Piękną dla ludzkiego ducha była epoka, w której dokumenty publiczne podawały: „Człowiek może wreszcie wznieść się i utrzymać w powietrzu”. W pierwszej chwili zaskoczenie i podziw nie zostawiły nam dosyć zimnej krwi, abyśmy mogli rozważyć zastrzeżenia. Myśli w głowach gotowały się: widzieliśmy tylko balony i rozmawialiśmy jedynie o balonach. Każdy chciał puścić swój balon, począwszy od tytularnego fizyka, aż do najprostszego rzemieślnika. Nawet dzieci uczyły się wymawiać słowa: „aerostat”, „gaz”, „błona” itd. A kiedy sława sprawiła, że w Europie publikowano każdy nowy esej aerostatyczny, to pewien uroczy naród, wielbiący wszystko, co do niego należy, a który nie przejmuje się, czy w narodach sąsiedzkich znajdą się niedowiarkowie, wygłasza apoteozy nie szczędząc wynalazcom wszystkich pochlebstw, jakie tylko może wymyślić zachwycona opinia publiczna.

Oddajmy sprawiedliwość pierwszym widzom tych niezwykłych doświadczeń: być może nigdy entuzjazm nie był bardziej wybaczalny. Maszyna aerostatyczna wydaje nam się ze wszech miar godną czci fanatyzmu i być może nie jest w mocy ludzkiej podchodzić do niej „na zimno”. W tym doświadczeniu, niezależnie od wszelkiej idei użyteczności, jest coś ważnego, co urzeka zmysły i domaga się podziwu. W naszych czasach

sztuka nawigacji oraz wznoszenia się w powietrze uważana była za chimerę, która podobnie jak *perpetuum mobile*, była rozrywką kilku próżnych umysłów. Nic bardziej nie zdawało się przekraczać ludzkie siły i sama próba rzuciła na śmiałków pozór śmieszności. Opinia publiczna, którą determinował los wszystkich dawnych Ikarów, czyniła im honor umieszczając ich nieco wyżej od szaleńców.

I oto nagle, wbrew powszechnemu oczekiwaniu, w głębi prowincji i bez respektu dla obliczeń tylu wielkich ludzi, którzy dowodzili szaleństwa przedsięwzięcia przez *a* mniejsze od *x*, panowie Montgolfier opracowali wynalazek, a swym płótnem i oparami wzbudzili zazdrość.

Przenieśmy się w myślach do château de la Muette, w tym momencie, w którym dwóch nie zrażających się trudnościami mężczyzn (a których niesprawiedliwa opinia nie wynosi być może wystarczająco nad ich następców) wypowiadało po raz pierwszy: „Przetnijcie liny!". I pierwsze z nich, zwisające z delikatnej maszyny, uniosły się nad głowami tysiąca wzruszonych widzów. Wszystko wybaczy się pierwszym porywom podziwu.

Wielki filozofie! Którego oko jednocześnie przeszywające i surowe dostrzega wszystkie ludzkie słabości i nie wybacza żadnej, zechciej zmarszczyć dumną brew, przynajmniej na widok balonu. Pomyśl czasem, że poddałbyś się entuzjazmowi publicznemu, gdybyś sam stał się jego przedmiotem i pamiętaj, że duma narodowa jest jak miłość ojcowska: trzeba umieć wybaczyć jej niektóre głupstwa.

Ale do czego służą balony? Posłuchajcie dostojni krytycy! Nie wiemy, ale po to właśnie je budujemy, by się tego dowiedzieć. Współcześni kloszom elektrycznym, niewątpliwie radzilibyście je potłuc, tak jak chcielibyście teraz spalić nasze balony. Elektryczność bowiem, która zaprowadziła nas do piorunochronów oraz pięknych doświadczeń panów Cavallo, Ledru, Quinquet, Bertholon itd.; ta elektryczność, która zwiąże się wnet z innymi fenomenami i być może odkryje większe ta-

jemnice natury, przez długi czas była jedynie jałowym cudem. Generalnie, każde odkrycie, które uczy człowieka niepodważalnych faktów lub w które wkłada on nowe siły, powinno być przyjmowane z zachwytem. Z tymi bowiem siłami lub wiedzą może on podróżować przez nieznany poprzednim pokoleniom region. Dla niego szczytem lekkomyślności, a nawet śmieszności, jest powiedzieć: „Nie chcę wcale zwiedzić tego kraju, nie ma tu nic do zobaczenia", nie wiedząc nawet, że można tam szukać i jeszcze mniej, że można znaleźć nie szukając.

Powyższe refleksje skłoniły nas do otwarcia subskrypcji, której celem jest dostarczenie publiczności doświadczenia aerostatycznego. Balon, który tworzymy, a któremu postanowiliśmy nadać formę doskonale sferyczną, pomieści trzy osoby. Jego średnica będzie wynosić 55 stóp. W konsekwencji będzie wypełniony 87,143 stopami kwadratowymi rozrzedzonego powietrza i będzie przenosił wagę 7,625 funtów powietrza atmosferycznego (pomijając nieznaczne ułamki). Nie mówimy nic o sile z jaką wzniesie się balon, zakładając, że nasze idee na temat wagi całkowitej, którą go obciążamy, nie są jeszcze dobrze sprecyzowane. Ale siła (pomijając wagę) wynosząca 3,812 funtów pozwala nam sądzić, że dysponujemy wszystkim, co potrzeba.

Maszyna zostanie zbudowana i obciążona według zasad wynalazców. Wyższa hemisfera zostanie pokryta siatką przymocowaną na biegunie balonu. Wszystkie oka w niej zostaną związane wokół mocnego olinowania, które posłuży za pas kulisty lub ekwator: doświadczenie pokazało, że ta część nie musiała być wcale utworzona z drzewa i że generalnie należało uniknąć materiałów stałych w tworzeniu balonów, których doskonałość polega głównie na mocy swobodnego posłuszeństwa naciskowi unoszącego je fluidu. Inne olinowanie na jednym krańcu przymocowane jest do pasa kulistego i dochodzi do drugiego łącząc się z galerią wiklinową. Ta ostatnia będzie dodatkowo trzymana przez przedłużenie *unerwienia* balonu,

rodzaj lin wtopionych w klin, a które pną się na powierzchni maszyny tak jak południki na kuli ziemskiej.

Nasz aerostat, na tyle, na ile możemy dziś stwierdzić, wyruszy między 18 a 20 dniem bieżącego miesiąca, zakładając, że na przeszkodzie nie stanie zła pogoda, której dzisiejsze anomalie nie mają sobie równych. Wyruszymy z centrum posiadłości Buisson Rond, w której mamy zapewnione wszystkie konieczne ułatwienia, a którą użyczyli na ten cel czcigodni właściciele. Uczynili to z całą życzliwością, która okazję do przyjścia z pomocą traktuje jako dobrodziejstwo.

Sądzimy, że nie ma potrzeby zagłębiać się w drobniejsze szczegóły związane z mechaniczną stroną naszego doświadczenia, które publiczność ujrzy na własne oczy. Możemy ogólnie zapewnić, że skrupulatna uwaga, jaką poświęca się wszystkim częściom konstrukcji, zapał osób, które nadzorują budowę oraz znakomita jakość materiałów powinny przekonać najbardziej wstrzemięźliwe umysły. Mamy więc nadzieję, że naszemu przedsięwzięciu nie staną na przeszkodzie, ani nie uczynią go nieprzyjemnym, próżne obawy, które nie wytrzymują najlżejszej próby.

Wydaje nam się, że każdy amator i nawet każdy dobry obywatel powinien zainteresować się realizacją tego pięknego oraz interesującego przedsięwzięcia. Zamiast podchodzić na zimno, czy deprecjonować, bardziej godne prawdziwych filozofów jest powtarzać postępowanie, badać je z wszystkich stron i — by tak rzec — oswoić się z nim.

Każdego dnia pada pytanie: Czy uda się pokierować balonem? Niewątpliwie dojdziemy do tego, w mniej lub bardziej doskonały sposób. I według wszelkiego prawdopodobieństwa problem zostanie rozwiązany przez kogoś, kto nigdy nie złożyłby deklaracji: „Rozwiążę go". Ale czy dociekając nad pulpitem dojdziemy do udoskonalenia użycia balonów? Pozwólcie nam w to wątpić. Chwała teorii! Jeśli jednak nie opiera się ona na doświadczeniu, to staje się podatna na dziwne upadki. A jeśli nie należy jej dowierzać, to w tym zakresie, w jakim czło-

wiek nigdy nie spróbował swych sił; bowiem nie działał jeszcze *na powietrzu*, *w powietrzu.* To nie tak, że tysiąc uczonych nie pokazywało nam sprawnie przy kominku domowym tego wszystkiego, co jest i nie jest możliwe w tym rodzaju, co musi się wydarzyć itd. Zostawmy te wypowiedzi i budujmy balony: praktyka nauczy nas rzeczy, których nie objawią nam nigdy nawet najgłębsze medytacje. Musimy absolutnie przyzwyczaić się wchodzić do balonu, jak do berlinki. A to, co ludzie o złym usposobieniu nazywają *niepotrzebnym powtórzeniem, szalonym wydatkiem* itd., jest jednocześnie jedynym środkiem, aby dotrzeć do celu, w kierunku którego zwrócone są obecnie wszystkie oczy. W powietrzu, autorzy tylu okazale zatytułowanych pamfletów, jak np. *Sposób kierowania balonami*, w następstwie wstydu nabraliby *być może* skromności. To *w powietrzu* zdobywamy pewność, czy możemy wykorzystać *działanie powietrza*, co jest mocno wątpliwe, czy tylko *działanie na powietrzu*, co jest bardzo prawdopodobne. To w powietrzu uczymy się korzystać z tej ostatniej siły. Wreszcie, doświadczenie sześciu tysięcy lat przekonało nas wystarczająco, że w przypadku odkryć bardzo mało zawdzięczamy *wcześniejszym* dociekaniom. Mądrze jest więc, zachowując skromność, wyruszyć w drogę podejmując ryzyko.

Jeśli chodzi o nas, to nie mamy żadnej śmiałości, by mówić o sposobach kierowania. Być może śnimy o tym piękny sen. Ale nie wspominając naszych prób ogłaszamy tylko, że włożono największy wysiłek w celu pokazania korzyści, jakie można wyciągnąć z maszyny panów Montgolfier; jest ona obciążona tak, aby bardzo długo mogła utrzymywać się w powietrzu. Ma to przekonać publiczność, że jeśli dotąd maszyna osiągnęła kilka dwuznacznych sukcesów, to należy przypisać je jedynie błędom konstrukcji lub innym przyczynom, nad którymi nie warto się rozwodzić.

Stwierdzamy nawet z prawdziwą satysfakcją, że balon z Chambéry będzie nowym hołdem złożonym panom Mont-

golfier, o których opinia publiczna rozprawiała każdego dnia, nie nudząc nas nawet przez chwilę, ponieważ nie mówiono o nich nigdy nie wspominając jednocześnie o ich skromności.

Ale w sposób szczególny, dzięki porywającemu spektaklowi, pragniemy wzbudzić smak nauk, a zwłaszcza fizyki eksperymentalnej. Chcemy w naszej ojczyźnie faworyzować i przyśpieszyć pewien ferment, który da się wyczuć we wszystkich umysłach, a który wydaje nam się, że jeśli nawet jest trochę spóźniony, to jest tak samo interesujący. Wierzymy bowiem, że to późne dojrzewanie zapowiada mocny temperament. Pragniemy, aby każdy młody człowiek widząc, jak ta imponująca masa rozpościera się pompatycznie i unosi w powietrzu, powiedział sobie, że może dążyć do podobnej chwały; że jego wysiłki otworzą przez nim taką samą karierę; że należy wystrzegać się mówienia: „Wszystko zostało wynalezione", i że inteligencja, w swym nieskończonym locie, obawia się tylko jednej przeszkody: lenistwa.

Wynalezienie balonów jest wciąż pięknym przedmiotem rozmyślań i zachęty ludzi wszystkich klas ze wszystkich krajów. Natura jest wspaniała w rozdzielaniu darów! Z jaką uwagą ta dobra matka uprzedza nas stale, że nie wydziedzicza żadnego ze swych dzieci! Kiedy geniusz fizyki chciał wreszcie nauczyć człowieka, że mógłby stać się rywalem ptaków, to nie przyszedł wcale do was, panowie z Londynu i Paryża. Przyszedł do przeznaczonych, aby zdziałać swój cud. Gdzie? Do Annonay!

Dziwna rzecz. Jeśli spogląda się na wielkie wynalazki, owe cudowne działania sztuk, które podporządkowały nam świat, to dochodzimy do wniosku, że uczonym tytularnym nie zawdzięczamy nic, lub prawie nic. Zbierają się najczęściej w wielkich miastach, otoczeni wszystkimi pomocami, takimi jak: instrukcja, sztuka, ambicja, a przede wszystkim całe bogactwo, jakim obdarzają geniusz. Wyjaśniają, poprawiają, analizują, udoskonalają. Ale nie potrafią nic dodać do ludzkiej mocy. A kiedy w Akademiach dumna teoria kalkuluje lub śni dokument, to w tym samym czasie doświadczenie, daleko od sto-

lic i ich szkół, rodzi cuda u skromnego i zupełnie nieznanego amatora, zanim ten nie zdobędzie sławy.

Wydaje się, że opisywane przez nas odkrycie zostało dokonane szczególnie w tym celu, aby upokorzyć uczonych Europy. Czego brakowało im, aby do niego doszli? Niczego. Ponieważ wszyscy nasi fizycy z opasłymi księgami znali podstawową własność gazu. Wszyscy widzieli chmury płynące w powietrzu i płomień unoszący się w ich kominkach. Wszyscy mogli czytać Borelliego, który wyraża się na temat żeglugi powietrznej, jak panowie Montgolfier, kiedy zdali relację ze swej działalności. Wydaje się nawet, że w ostatnich czasach przeznaczenie, które droczyło się z niektórymi z tych panów, postawiło rzecz tak blisko ich oczu, że nie mogli jej zobaczyć. A kiedy do ujrzenia jej wystarczyło — by tak rzec — pomyśleć o niej, wtedy nie tak nieszczęsna ręka, ale równie niewzruszona, co ta, która przeraziła króla Asyrii, napisała na ścianach ich laboratoriów: „Wynalazłem lekkie".

Oddajmy się więc z ufnością fizyce eksperymentalnej, jedynej prawdziwej i pożytecznej. Nie zaniedbujmy obliczeń, uczonych teorii, ale poznajmy również cenę pewnej praktyki badawczej, która nie zaniedbuje niczego i nigdy we wszechświecie; która zatrzymuje się przed najmniejszymi przedmiotami, porusza, ciąży, rozkłada wszystko, co może poznać; a biorąc rozum za rękę wciąż po omacku szuka światła w ciemnościach. Połączmy nawet dociekania z postępowaniem w sztukach i nie wierzmy, że ujmę przyniesie nam to, że czasem zostawimy formułę algebraiczną, by wziąć do ręki pilnik i hebel.

Nie będziemy tłumaczyć się brakiem pomocy, oddaleniem od wielkich miast, małością prowincji. Takie okoliczności nie powinny nas wcale zniechęcać. Niewątpliwie talenty wydają się rodzić i gromadzić w stolicach. Ale talent pojawia się, by komentować geniusz, który rodzi się wszędzie.

Nasze refleksje, które przenikną abonentów, bez wątpienia wywrą to samo wrażenie na młodych współobywatelach. To z korzyścią dla nich, w miejsce zimnych opowieści i martwych

gazet, chcemy dostarczyć tych samych wrażeń, które tak bardzo poruszyły naszych sąsiadów. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby pompatyczny spektakl jednego z największych cudów fizyki współczesnej mógł, przechodząc z oczu do umysłu, rozgrzać ich duszę, rozwinąć zarodek wielkich rzeczy i dać im żywą, przeszywającą ideę radości oraz chwały, jakie potrafią zapewnić nauki.

Takie są motywy, które zasadniczo zadecydowały o przedsięwzięciu, a które na pierwszy rzut oka są czymś bezużytecznym.

Jednocześnie, trzymając się z dala od próżnego szarlataństwa, nie ukrywamy wcale, że składając hołd naukom, bardzo liczymy na aspekt rozrywki. Niewątpliwie, nauka jest piękna:

Ale uwierzcie nam, przyjemność ma swą cenę!

Rozważając rzecz z punku widzenia samego spektaklu, możemy zadać pytanie, cóż innego da się porównać z wielkim aerostatem, który wznosi się i leci majestatycznie, zabierając kilku pasażerów? Człowiek jest spragniony żywych wrażeń. Otóż, przygotowujemy dla publiczności coś zupełnie nowego, co dotychczas nie było znane. A jeśli do naturalnej korzyści wynikającej z przedsięwzięcia dorzucimy płynącą z niej ogromną przyjemność, co łatwo przewidzieć, to zgodzimy się ze stwierdzeniem, że dzień doświadczenia powinien zostać zapisany pośród tych, w których sztuka potrafiła najbardziej zabawić nasze istnienie.

Wszelako idea planowanego spektaklu prowadzi nas przez niezwyciężoną skłonność do tego, co musi utworzyć główny ornament. Nie możemy więc zakończyć, nie składając wcześniej, piękniejszej części społeczeństwa, szczególnego hołdu z okazji naszego przedsięwzięcia. To głównie kobietom dedykujemy ten spektakl. To ze względu na nie podejmujemy wszelkie środki ostrożności, aby przyjemność doświadczenia nie została okupiona nieszczęściem, ani nawet najmniejszą niedogodnością. Możemy je zapewnić, że doświadczenie ae-

rostatyczne zostało wykonane ostrożnie i nie pociąga za sobą żadnego ryzyka; że przeraża tylko oczy i że jeśli złośliwy sylf pojawi się w powietrzu i przewróci ogrzewacz, to balon będzie wciąż parasolem o średnicy 55 stóp, który bezpiecznie sprowadzi podróżników.

Skoro jednak ważne jest, aby zawczasu powziąć środki ostrożności przeciwko nadmiarowi uczuć, tak samo godnych kobiet, co zniechęcających powietrznych nawigatorów, to prosimy je, aby od czasu do czasu rzuciły okiem na nasze prace, których najważniejsza część nie miałaby lepszych sędziów. Potrafią one połączyć cechy, które uprzyjemniają życie towarzyskie z cechami kobiety mocnej. Dlatego nie będziemy do nich mówić w zupełnie niezrozumiałym języku, kiedy zwrócimy się do nich z prośbą, aby przyszły podziwiać siłę naszego kremowego płótna, równość i wielość połączeń krawieckich, okrągłość rąbków; i nasze ogromne kliny połączone zygzakowatym ściegiem, rzucające na zewnątrz dwa szerokie zakłady, które połączą się, aby przyjąć i umocować pod równym szwem liny miękkie i mocne, dumne ze wsparcia tej tryumfalnej galerii, w której człowiek, zagubiony w chmurach, jednym spojrzeniem kontempluje wszystkie byty, których geniusz uczynił go królem.

Po zapewnieniu tylu środków ostrożności mamy prawo oczekiwać, że podróż powietrzna wznieci w naszych damach miłe emocje, które jeszcze bardziej przyozdobią ich piękno. Wszelako absolutnie nie chcemy ani krzyków, ani zamroczenia, ani omdleń: te oznaki wielkiego strachu wzburzyłyby zbyt okrutnie wytwornych fizyków; a trzej podróżnicy, którzy opuszczając ziemię nie stracą z oczu tego, co nosi na sobie najbardziej interesującego, będą niepocieszeni, jeśli trzy lunety achromatyczne, wycelowane w posiadłość, natrafią na jakąś ładną, lecz spiętą twarz.

Współcześni Astolfosi, uzbrojeni w głośny róg, ale o zupełnie innym przeznaczeniu, zadmą weń żegnając ludzi; potem

wykrzykną mocno i donośnie: „CZEŚĆ KOBIETOM!" Jednak trochę sobie pochlebiają, że to zawołanie z dawnych turniejów doprowadzi do radosnej ceremonii kończącej te wspaniałe święta; a z kolei na ziemi nie będzie się im szczędzić uścisków.

Czy surowi ludzie przeklną nas za stracenie z oczu fizyki oraz odkryć, aby kontemplować tak długo istoty, które nie mają nic wspólnego z balonami, a tylko wywołują zawroty głowy? Z pewnością nie. Obawiamy się jednak, że w całej naszej kurtuazji dostrzega się tylko zręczną politykę, która zmierza do celu błędną drogą i chce przyciągnąć do nas jedną z wielkich mocy wszechświata. W głębi jedno przyciąganie warte jest drugiego; i w szlachetnej ambicji, która skłania nas do faworyzowania smaku nauk wszystkimi możliwymi środkami, dlaczego nie mamy korzystać z łask części Muz?

List Pana S. do Pana Hrabi C. oficera w L... des C...[1] zawierający relację z doświadczenia aerostatycznego w Chambéry

Mój drogi hrabio, śpieszę, by położyć kres alarmowi, który z pewnością pan usłyszał, a który wywołano w związku ze sprawą naszego biednego balonu. Po niepowodzeniu 22 kwietnia (1784 roku) z niecierpliwością czekałeś w swym cichym zamku na wieści o bardziej szczęśliwej wyprawie; ale zanim podzielę się naszym sukcesem, to wcześniej muszę wrócić do tego smutnego dnia 22. Mówiono, że nasz balon został źle skonstruowany. Mówiono, że nigdy nie dało się go napompować. Mówiono, że ignorując podstawowe zasady rachunku nakazaliśmy mu dźwigać trzy, cztery, pięć, aż do siedmiu osób. Mówiono... Czegóż to nie mówiono? Skoro kłamano w posiadłości Buisson Rond, to można wierzyć, że prawda nie została

[1] Légion des Campements. Skróty w oryginale.

uszanowana również dwadzieścia lub trzydzieści mil od nas. Zresztą pozwól, że podam Ci krótko kilka szczegółów o tym przykrym wydarzeniu. Myślę, że będziesz zadowolony.

Wpierw obiecaliśmy sobie samym, że balon zostanie skonstruowany, uruchomiony i puszczony przez obywateli. W konsekwencji, specjalnie odmówiliśmy pomocy kilku zagranicznym ekspertom, którzy oferowali nam bratnią pomoc. Podziękowaliśmy im za ich dobrą wolą, nie chcąc z niej korzystać. Co więcej, wśród tłumu robotników, artystów oraz amatorów, którzy wymyślili przedsięwzięcie, tylko jedna osoba widziała wypuszczany balon z załogą ludzką. I ta sama osoba nie mogła uczestniczyć w drugiej próbie. Tak, iż naraziliśmy się dobrowolnie na niezliczone trudności, jakie pociąga za sobą niedoświadczenie. Zrobiliśmy to jednak, by poczuć przyjemność przezwyciężenia ich. Ta cecha próżności narodowej (na marginesie, jedyna pozytywna) kosztowała nas jedno małe, przejściowe upokorzenie. Najbardziej przemyślana teoria nie mogła uzupełnić w pełni braku doświadczenia. Niektóre z naszych założeń okazały się błędne: olinowanie było dużo cięższe, niż to sobie wyobrażaliśmy; liczyliśmy, że waga galerii wyniesie 250 funtów, a ważyła dwa razy tyle. To nie wszystko: podniesiony balon został napompowany za szybko, w dziesięć minut. To był nasz największy błąd. W zbyt dużym pośpiechu rozrzedzenie powietrza nie przebiega dobrze; trzeba było na nie czekać z większą cierpliwością. Jednocześnie, znużona długim oczekiwaniem publiczność, nazbyt spragniona spektaklu, domagała się podniesienia. Na nasze nieszczęście, niedobra atmosfera zawładnęła widownią. Aby dopełnić tego nieszczęścia, robotnicy zabrali się za spożywanie obiadu. Mieliśmy nadzieję, że galeria wzniesie się mimo trudności i popełnionych błędów. Wreszcie odpowiedni ruch powietrza pozwolił nam wierzyć, że uda się wystartować.

Otoczyliśmy galerię, podnieśliśmy ją siłą ramion, kabel został odrzucony. Przenieśliśmy maszynę na skraj przygotowanej

estrady: inny błąd, który nam potem wyrzucano. Niewyjaśniona gorączka dotknęła wszystkie głowy: podniosło się naraz tysiąc głosów; przez chwilę nie słychać było już nic... Na próżno pan Tiollier, którego zapał dorównuje talentom, uprzedzał nas, że wszystko stracimy... W pewnym momencie jeden z robotników krzyknął w stylu, który nie da się oddać słowem pisanym: „Zrzućmy dolną część! Być może wystartuje". Ta dobra rada została wysłuchana: niestety, nieszczęsny balon, zamiast zostać wypuszczony, przechylił się i upadł na łąkę, u stóp widowni, wierny świętym prawom grawitacji. Upadając trafił jeszcze na ogromny gwóźdź wbity nieostrożnie w maszt. Gwóźdź zagłębił się w olinowaniu i zrobił dwadzieścia dziur. Zamarliśmy na chwilę, bo w następstwie upadku galerii po skosie jeden z pasażerów znalazł się pod ogniskiem. Na szczęście nie stało się nic strasznego. Pomoc była natychmiastowa i liny zostały zręcznie przecięte. Pozbawiony ciążącego osprzętu balon, wzniósł się sam i wkrótce odwrócił się pod wpływem ciężaru olinowania. W tej zabawie utracił tylko połowę papieru i część dwu lub trzech klinów nadpalonych tuż pod ekwatorem.

Mój drogi przyjacielu, osądź teraz doskonałość tylu lodowatych epigramów ciskanych przeciwko balonowi z Chambéry! Pomyliliśmy się w kilku punktach, to wszystko: zobacz wielki cud! Zrobiliśmy równie dobrze, a nawet lepiej niż lis La Fontaine'a:

D'abord il s'y prit mal, puis un peu mieux puis bien,
Puis enfin il n'y manqua rien[2].

Po nieszczęsnej porażce pierwszego doświadczenia, pomysłodawcy, dalecy od zniechęcenia, postarali się o znalezienie koniecznych środków do naprawienia aerostatu. Obiecali sobie, że dobrze wykorzystają wiedzę zdobytą na błędach, dzięki

---

[2] W dosłownym przekładzie: „Wpierw zabrał się za to źle, potem trochę lepiej, potem dobrze, a wreszcie nie brakło już niczego".

czemu osiągną sukces. W rezultacie, pierwszym krokiem było przecięcie olinowania pokrywającego wyższą półkulę balonu. Okazało się, że oszczędność na wadze była znaczna, ponieważ ta ciężka „czupryna" nie ważyła mniej niż 180 funtów. W celu uzupełnienia olinowania podwojono unerwienie, co zwiększyło ilość lin do liczby 48. Zapewniło to siłę wystarczającą do utrzymania kuli i zapobiegnięcia ekspansji fluidu wewnętrznego. Następnie pomyślano o galerii: w czasie pierwszego doświadczenia, ważyła około 500 funtów, przez co nie miała wystarczającej siły. W celu uzyskania jednocześnie większej solidności i lekkości skonstruowano duże drewniane koło z jesionu o średnicy otworu balonu i przymocowano do niego, w równej odległości, dwa rodzaje koszy utworzone z resztek starej galerii. Kosze, przypominające dwie trybuny, miały 11 stóp długości zewnętrznej i tylko 9 wewnętrznej. Naśladowały formę koła i podzielono je, trójkątami z żelaza, na trzy równe pola, z których środkowe zostało przeznaczone dla podróżnika, a dwa pozostałe na zapas. Całość, wraz z okuciem, ważyła około 300 funtów. Jeśli chodzi o kształt balonu, to nie chcieliśmy nic w nim zmieniać, ponieważ tak naprawdę kształt sferyczny jest najbardziej korzystny. Nie uwierzysz, jak nas szykanowano w tej kwestii. Z wszystkich stron spadały na nas złowrogie przepowiednie. Używając pięknych argumentów dowodzono nam, że że doskonała kulistość balonu sprzeciwia się jego wznoszeniu. Jeśli wydarzenie nie zwalniało nas od odpowiedzi tym panom, to radzilibyśmy im zbudować niezwłocznie aerostat w formie wrzeciona o długości 20000 stóp, którym mogliby łatwo przebić powietrze, wzbić się prosto do księżyca i odkorkować jedną z butelek wypełnioną ogniem Astolfa.

Jeśli wszystkie kształty byłyby obojętne, wtedy zawsze należałoby opowiedzieć się za formą sferyczną, zważywszy na jej wewnętrzną doskonałość; zresztą, tak bardzo wychwalaną przez starożytnego uczonego:

— *Arystoteles, panie, w dziele* Meteory*, powiada słusznie...*

— *Bardzo proszę, nie mów do mnie tak, jak Dandin Racine'a.*

— Uważam, że Arystoteles nie jest tu wcale autorytetem.

— Tym gorzej dla ciebie, mój drogi, jeśli nie szanujesz starożytnych. Uwierz, że za każdym razem trzeba tam dojść. Jeśli pragnę wyłożyć wam ideę filozoficzną Stagiryty, to dlatego, że autorytet perypatetyka dowodził, iż forma...

— Jednocześnie, jeśli nudzi cię ta erudycja, to jestem gotów skończyć. Ale nie wierzę, że nie doceniasz świadectwa tego wszystkiego, co starożytność wytworzyła najlepszego. Nie mówię tylko o Arystotelesie; ale również Tales, Pitagoras, cytowani w bardzo grubych księgach, Ptolemeusz, Kleomedes, Cyceron, Plutarch, Alfarage, jednym słowem, wszyscy zgadzają się, że okrągły kształt jest czymś cudownym. Wszyscy oni obierają ją jako symbol doskonałości, a boski Platon potwierdza w Timajosie*, że nie można nic porównać do tej zadziwiającej formy, która zamyka w sobie wszystkie inne formy.*

Widzisz więc hrabio, że niezależnie od każdej innej racji, już sam zwykły motyw szacunku wpłynąłby na naszą decyzję o wybraniu tej właśnie formy. Ponadto, myśleliśmy, że:

— Wszystkie części balonu sferycznego były powtórzeniem unikalnego modelu, co bardzo ułatwiło nam pracę, która po kilku dniach stała się dla robotników operacją mechaniczną; nie obawialiśmy się wielu błędów;

— W kulistej formie masa wzrasta w większej proporcji niż w innej; nie było więc w tym względzie wahania;

— Łatwiej było jednorodnie napompować balon i żadna forma nie faworyzowała z góry działania jakiejkolwiek siły równo rozłożonej we wszystkich częściach masy;

— Najmniejsza wysokość balonu i zbliżenie do centrum grawitacji czyniły go mniej podatnym na niebezpieczne drgania.

Ostatnie racje nie przekonują, ale robią duże wrażenie, kiedy łączą się z poprzednimi. Nabierają zresztą pewnej mocy przez samo wydarzenie. Balon o długości 55 stóp we wszyst-

kie strony, który dźwigał galerię o wadze 300 funtów, ognisko o wadze 80 funtów, dwoje ludzi oraz 300 funtów zapasu, a który w rezultacie nie mógł wystartować 6 maja w obecności nieba, ziemi i księcia Sabaudii. Wierzymy więc, że możemy wymagać od naszych przeciwników, aby zadowolili się tą demonstracją faktów, którą uznajemy za dobrą oraz w ich zasięgu.

Powróćmy do mego opowiadania. Jak już wspomniałem, śpieszyliśmy się z naprawą balonu i zniszczeń wywołanych przez ogień, przy czym noże ratowników balonu narobiły innych szkód. Ale zapał subskrybentów oraz aktywność robotników, którzy pracowali dzień i noc, pozwoliły zapowiedzieć wylot na wtorek czwartego maja. W rezultacie, doskonale zreperowany balon znalazł się na miejscu w wyznaczonym dniu. Niestety, wiatr wiejący bez przerwy z północnego wschodu nie pozwolił wykonać doświadczenia. Zniecierpliwiona publiczność, która spędziła dwa smutne dni wpatrując się w estradę, rozeszła się. Wreszcie, o wschodzie słońca zauważyliśmy, że wiatr osłabł. We środę wieczorem jeden z pracowników ogłosił przez tubę, że z rozkazu kierowników przedsięwzięcia balon zostanie wzniesiony następnego dnia o szóstej nad ranem.

Dużą ciekawość publiczności wzbudzało poznanie jednego z podróżników, który jak dotąd w ogóle się nie pokazał. Początkowo, aerostat miał zostać wzniesiony przez kawalera de Chevelu, który był motorem i naturalnym szefem przedsięwzięcia. A publiczność, która go bardzo kocha, pragnęła, aby to on kontynuował swój projekt. Ale czułość ojcowska sprzeciwiła się powszechnemu oczekiwaniu. Miłość fizyki nie przeszkodziła zaalarmowanemu ojcu zabronić swemu synowi wstępu do nowego rodzaju pojazdu. Obawy ojca oraz posłuszeństwo syna są godne szacunku. Niemniej, z największym żalem spoglądaliśmy na odejście tego drogiego i kochanego kawalera, któremu ze swej pracy oraz niewyobrażalnych wysiłków został owoc nieudanego doświadczenia. Mamy przynajmniej nadzieję, że nowy sukces będzie dla niego pełnym pocieszeniem.

Wiesz dobrze, że nasza żarliwa młodość oferowała tyle samo podróżników, co głów. Ale by uprzedzić nieprzyjemności, które mogły wyniknąć z konkurencji, drugim wybranym podróżnikiem, który pozostał na miejscu, był pan Brun, młody i niezwykle utalentowany człowiek. W wieku dwudziestu czterech lat ma bardzo rozległą wiedzę matematyczną. Wkrótce pójdzie na służbę do Jego Wysokości króla Prus. Bardzo gorąco życzymy sobie wszyscy, aby ten pierwszy krok był dla niego drogą do szczęścia.

Pan Brun, pozbawiony pierwszego współtowarzysza, bardzo chciał, aby w podróży powietrznej towarzyszył mu kawaler de Maistre, ochotnik pułku Piechoty Morskiej, który ze swej strony umierał z chęci wzięcia udziału. Jednak wyprawa pułku została wyznaczona dokładnie na tę samą godzinę, co doświadczenie. Do tego obawy rodzicielskie skomplikowały sprawę jeszcze bardziej. De Maistre zaczął od próby pokonania pierwszej przeszkody, która zakończyła się sukcesem: otrzymał pozwolenie na wyjazd dopiero po kolacji i dołączenie do korpusu w Montmélian. W obawie o gwałtowną reakcję ojca (w co jednak można było trochę wątpić) uznał, że wystarczyło milczeć, a z wyprawy zwierzyć się dopiero w momencie powrotu. Ostatecznie więc projekt został zatwierdzony we środę wieczór. Z całej rodziny podróżnika, tylko jedna osoba dowiedziała się o tym przez przypadek.

Robotnicy spędzili przy balonie noc ze środy na czwartek. O trzeciej nad ranem zaczęto go pompować na lekkim, lecz stale podtrzymywanym ogniu. Wydaje się nawet, że to stopniowe rozrzedzanie było w znacznym stopniu przyczyną sukcesu przedsięwzięcia. O szóstej nad ranem publiczność pojawiła się w posiadłości Buisson Rond. Wszystko było gotowe do wylotu. Ogień trzaskał w piecu i zawiązane w supeł liny mówiły: „Wszystko pójdzie dobrze”.

Pan Brun, ubrany w koszulę, stał na estradzie i wydawał rozkazy. Widziano tylko jednego podróżnika. Kawaler

de Maistre, w mundurze, skrzyżował ramiona i nie zdradzał żadnego zamiaru. Wreszcie pan Brun wskoczył do swego kosza, a jego współtowarzysz podróży, robiąc koło wokół balonu, zbliżył się do swojego i zaczął się rozbierać. Trzeba zaznaczyć, że ze względu na swe rozmieszczenie, publiczność zajmowała jedynie dwie strony posiadłości. Kosz przeznaczony dla anonimowego podróżnika został umieszczony w przeciwnym kierunku do tego, w którym znajdował się tłum. De Maistre mógł więc wskoczyć do niego, niemal niezauważony. I zamiast stać, położył się i przykrył płótnem. W tym momencie, jedna z lin podtrzymujących jego kosz pękła niespodziewanie. Balon zaczął wznosić się niezauważalnie, a lina, która nie była dokładnie wyrównana w stosunku do innych, okazała się zbyt krótka i trzymała cały ciężar. Podróżny upewnił się, że pozostałe liny są w porządku. Uznał, że nie należało tracić czasu na niepotrzebne naprawy i być może wzniecić wśród ludzi alarm. Jego brat, który był na estradzie, dotknął lin, pożegnał go lakonicznie i zmieszał się z tłumem. Wreszcie nadeszła upragniona chwila. Kabel znikł, a idealnie napompowany balon gotów był do lotu. Wiele serc zabiło mocno i wiele okularów spojrzało w powietrze.

Poproszono o ciszę. Pan Brun odwrócił się i strzelił z pistoletu. Był to znak umowny. Puściliśmy wszystkie liny i nic już nie trzymało balonu. Opuścił widownię. Jego ognisko odbijało się we wszystkich oczach; był w powietrzu.

Nie odważę się, by odmalować Ci wywołane wrażenia! Tylko anioł lub głupiec mógłby to uczynić. Ale Ty, mój drogi hrabio, który do wielu posiadanych talentów dołączasz i ten malarstwa, na tak wysokim poziomie doskonałości, posłuchaj mnie! Rozetrzyj farby! Weź płótno i pędzle: chcę Ci ofiarować godny Ciebie model. Spójrz na posiadłość, a tam na młodych ludzi, który utkwili wilgotne oczy w balonie, a który pomknął jak strzała. Namaluj mi to! Pozwól mi zobaczyć na tych twarzach blady strach, ekstazę podziwu i czuły uśmiech. Oddaj mi

uczucie, które wstrzymuje ich na zajmowanych miejscach oraz odruchowy gest, który szuka balonu w powietrzu, podtrzymuje go, kieruje nim i chroni przed upadkiem na skały. Dalej, mój drogi przyjacielu, odwagi! Bądź szlachetny, bądź sobą! I niech twój obraz mówi, jak twoje modele: „Tam jest mój brat!” Ale powiesz mi, że nie jesteś ani aniołem, ani głupcem. Kontynuujmy...

Po wzniesieniu się o kilka sążni, pan Brun odwrócił się w kierunku posesji i pozdrowił zebranych zachowując zimną krew. Jego współtowarzysz czując, że najwyższy czas, aby opuścić swą kryjówkę, podniósł się, wziął tubę i wierny obietnicy *Prospektu*, ze wszystkich sił wykrzyknął: „Cześć kobietom!” Ale tam, z wysokości, jego okrzyk był już prawie niesłyszalny. Zresztą, na ziemi, można było powiedzieć prawie dosłownie:

Bóg, chcąc zostać usłyszany, grzmiał nadaremnie.

W tym momencie, przez szczęśliwy zbieg okoliczności, pułk piechoty morskiej maszerował wzdłuż murów Buisson Rond, który jak wiesz, graniczy z główną drogą prowadzącą w kierunku Piemontu. Balon przeleciał dokładnie nad batalionem. Zaczęto bić w bębny.

Tymczasem kula wznosiła się z cudowną prędkością, ale prawie prostopadle, ku wielkiemu zadowoleniu podróżników. Bardzo żałowali jednego z porywów wiatru, który przeszkadzał nam wcześniej. Po tym, jak osiągnęliśmy bardzo dużą wysokość, od strony de Challes uderzył w balon lekki powiew i pchnął nas w kierunku północno-wschodnim od miejsca wylotu. Mimo niekorzystnego spokoju, który trwał dwanaście minut oraz słabości pojawiającego się wiatru, dobry stan maszyny oraz doskonałe bezpieczeństwo podróżników pozwoliło im przewidzieć z niczym nieporównywalny sukces. Jednak w tego rodzaju przypadkach zawsze popełnia się jakiś błąd, co jest związane z brakiem doświadczenia. Pomyliliśmy się odnośnie ilości koniecznego paliwa: 180 funtów drzewa wydawało

się być wystarczającym zapasem. Byliśmy w błędzie i ten błąd sprawił, że nasze doświadczenie stało się dużo mniej okazałe.

Podróżnicy zabawiali się wpierw rozmową i kontemplacją pięknego spektaklu, jaki rozpościerał się przed oczami. W tym czasie ogień zmniejszał się i balon opadał. Wierzono nawet w posiadłości, że dotknie ziemi. Ale podróżnicy spostrzegli schodzenie w dół. Zwiększyli ogień i wkrótce znowu zaczęli się wznosić. Najwyższe wzniesienie, jakie zauważyli obserwatorzy, wynosiło 506 sążni. Niemniej (oprócz całej dumy), Argonauci powietrzni mają pewne wątpliwości odnośnie dokładności szacunku. Oczywiście, nic nie równa się wzniosłości rozważań będących wyznaniem wiary w kątomierze oraz tablice sinusów. Ale kiedy pomyślą, że ustalone znaki mające wyznaczyć moment, w którym mieli być lornetowani, w ogóle nie zostały zauważone; że jeden z obserwatorów musiał patrzeć prawie prostopadle w niewygodnej pozycji; kiedy przypomną sobie, że pod sobą widzieli Dent de Nivolet, de Granier oraz skałę de Chafardon, to mają podstawy, by wierzyć (w oczekiwaniu na pomiar tych gór), że wznieśli się ponad 506 sążni. Barometr nie mógł być tu rozstrzygający. „Niech pan prowadzi obserwacje — mówi kawaler de Maistre do pana Bruna — a ja zajmę się ogniem". „Dobrze — odpowiada tamten, ale rozbiłem barometr" (Zabraliśmy tylko jeden. Nie mów nic, na Boga!). „A ja — powiada współpasażer — rozbiłem właśnie trzon widelca".

Strata była dużym nieszczęściem, bo zamiast kłaść wiązki chrustu spokojnie na palenisku, trzeba było je rzucać, i biedny młodzieniec, któremu przeszkadzała żelazna część wystająca z wewnętrznego pokładu koszyka, nie trafił i stracił trzy wiązki.

W czasie podróży balonem, matka pana Bruna, która nie miała odwagi, by uczestniczyć w wylocie, spostrzegła go w powietrzu. Stała na środku placu, na którym znalazła się przez przypadek. „Mój Boże! — wykrzyknęła. — Nie zobaczę już mojego drogiego dziecka!" Zobaczyła go zbyt wcześnie, ponie-

waż dwóm faetonom brakowało zapasów. Dla większej pewności i w zgodzie ze zdaniem słynnego fizyka de Saussure'a, liczbę podróżników zredukowano do dwóch. Siatka została usunięta i galeria odciążona. Można było znacząco podnieść ilość zapasów. Rozmiar wiązek zmylił wzrok. To prawie jedyny popełniony błąd, ale znaczący. Wpadli we wściekłość widząc, że muszą dotknąć ziemi całkowicie zdrowym balonem i spalili wszystko, co mogli. Mieli na stanie znaczącą ilość kul papierowych nasączonych olejem, alkoholu etylowego, szmat, gąbek, dwa kosze z papierem, dwa kubły na wodę: wszystko zostało rzucone w ogień. Jednak balon nie mógł utrzymać się w powietrzu ponad dwadzieścia pięć minut i zaczął opadać na bagna de Challes, pół mili w linii prostej od miejsca wylotu, ale po dwu lub trzech znaczących odchyleniach w kursie. Pan Brun nie omieszkał podać bardziej szczegółowych danych na temat całkowitej wagi maszyny oraz siły wznoszenia. Wspomniane szczegóły potwierdzą, że należy mocno zmienić hipotezę, która zakłada rozrzedzenie powietrza w proporcji 1 do 2. Ale zamilknę na ten temat nie chcąc wchodzić w jego dziedzinę, która słusznie do niego należy.

Oto jest, mój drogi, wierna historia naszego balonu, być może interesująca, ponieważ został znakomicie zbudowany, ponieważ wzniósł się z zaskakującą prędkością, ponieważ niósł tylko 44 lat, ponieważ kierowany był mądrze i z zimną krwią oraz nie sprawił najmniejszego problemu. Jednocześnie rozumiesz, mój drogi przyjacielu, że wszystko to piszę bez cienia zarozumiałości. Mówię o tym, co nas interesuje i mówię to tylko do naszych obywateli. A jeśli jakieś uderzenie wiatru (jestem daleki od przywoływania go) zaniesie te strony za granicę, to niech przynajmniej poświadczą, że z przyjemnością powtórzyliśmy ciekawe doświadczenie, ale nie przywiązujemy żadnego rodzaju chwały do tego, że zrobiliśmy to tak samo dobrze, jak inni.

Zaraz po tym, jak balon dotknął ziemi, wsiedli do karocy, która pędząc z całych sił zawiozła podróżników z powrotem

do Buisson Rond. Dwóch młodzieńców wprowadzono na widownię, gdzie zostali przedstawieni publiczności, która zgotowała im owację. Otrzymali nagrody od Hrabiny de Cevin, baronowej de Monailleur i pani de Morand, których czarujące twarze były najlepszą zapłatą za dług zaciągnięty w *Prospekcie.* Weszliśmy znowu do karocy. Nasi młodzi żołnierze zrobili żart zajmując miejsce stangretów. Trzeba było widzieć szczególnie kawalera Galatée, z ogromnym sztucznym wąsem, który powoził karocą z podróżnikami. Była niewyobrażalna radość, entuzjazm, urocze szaleństwo. W tym pięknym ekwipażu wjechaliśmy do miasta, ozdobieni we wstążki i kwiaty, przy hałasie bębnów i innych instrumentów. Mówiono dużo o laurach, ale zauważyłem, że podróżnicy sprzeciwiali się (odnajdą je gdzie indziej). Karoce poprzedzała wielka ilość osób każdej rangi, pomiędzy którymi znaleźli się subskrybenci. Cały orszak prowadził wpierw kawaler de Maistre. Dwóch dwudziestopięciolatków wyciągnęło go z karocy i zaniosło na ramionach do Przewodniczącego, jego ojca. Nie muszę Ci mówić, że dobry ojciec został już poinformowany o wylocie i szczęśliwym lądowaniu balonu. Następnie udano się do pana Bruna. Niestety, jego ojciec był nieobecny. Jeśli ma się jednak matkę, to nie można narzekać na brak czułości. Pani Brun żyła zwycięstwem syna. Przyjęła komplementy i całusy od wszystkich, a zwłaszcza dam, które podziwiały jej radość:

O wielki Boże! Serce matki
Jest pięknym dziełem twojego.

Od pana Bruna udaliśmy się do Jego Ekscelencji pana Gubernatora. Damy przedstawiły im podróżników. Przyjął ich z dobrocią, a kawalerowi de Maistre przyznał łaskawie dwudniowy urlop, aby mógł odpocząć i dołączyć spokojnie do pułku.

Przygotowano posiłek dla dziewięćdziesięciu osób. Nie jest możliwe, aby oddać ducha jedności, uroczej i hałaśliwej rado-

ści, które wypełniły ten prawie braterski bankiet. Wzniesiono wiele toastów *à l'anglaise*. Podaję je z pamięci w następującej kolejności:

- Kawaler de Chevelu, którego jedynie brakowało, aby święto było w pełni udane;
- Dwóch podróżników;
- Przewodniczący hrabia de Maistre oraz pan i pani de Brun, którzy jako pierwszy pośpieszyli, by przygotować święto;
- Jego Ekscelencja Gubernator, który swym nazwiskiem zaszczycił listę subskrybentów, a jednemu z podróżników przyznał dwa dni urlopu;
- Panowie de Montgolfier, których geniusz zapewnił nam wspaniały spektakl nad ranem oraz wynikające stąd przyjemności;
- Autor *Prospektu*, z pewnością z powodu dobrej woli;
- Damy, które jako pierwsze pośpieszyły z pomocą podróżnikom i wyróżniły ich pierwszymi uściskami;
- Hrabia de Saint-Gilles, major pułku dragonów z Piemontu. Dla niego i dla oficerów jego korpusu, balon z Chambéry miał bardzo patriotyczny wymiar; gościliśmy ich wszystkich przy stole z wielkim zadowoleniem;
- Kawaler Galatée, stangret z dobrego domu i mistrz ceremonii: dusza święta.

Wreszcie hrabia de Saint-Gilles poprosił o ciszę i zaproponował toast z wodą na cześć *Hermite de Nivolet*[3], co zostało przyjęte przy salwach śmiechu.

Po posiłku udaliśmy się wszyscy razem do bramy przedmieścia de Montmélian, gdzie balon czekał na współbiesiadników. Umieściliśmy go z namaszczeniem na dwu wozach. Był w tak samo dobrym stanie, co w chwili startu. Udaliśmy się

[3] Jeden z największych przeciwników lotów balonem.

z fanfarami do ogrodu d'Yenne: był to kolejny hołd złożony kawalerowi Chevelu, o którym nie zapominaliśmy ani przez chwilę.

Dzień zakończył się bardzo przyjemnie, mianowicie świetnym, wieńczącym wszystko balem. W tym uroczym zgromadzeniu przyjemność nie została — jak często bywa w takich wypadkach — przepędzona przez smutną etykietę. Goście bawili się aż do szóstej nad ranem, łącznie z kawalerem de Chevelu. Po pierwszych kontrdansach podróżnicy zostali przedstawieni przez panie de Cevin i de Monailleu, które potem odwiozły ich nad ranem. Nieskończona ilość uścisków dowodziła, że nawet schodząc z nieba można bawić się na ziemi. Śmiech był na wszystkich ustach, radość we wszystkich sercach. I wszystkich przenikał respekt dla fizyki i szaleństwa.

Na koniec, nie odmówię sobie przyjemności, by przekazać Ci, że jedność, radość i dobry porządek, które przenikały nasze święto, były w dużej mierze dziełem hrabi de la Perrouse'a oraz markiza de la Serraza, którzy dwoili się i troili dbając o najbardziej troskliwą i pomysłową uprzejmość.

Chciałbym bardzo pozwolić biec mojemu pióru i wymienić wszystkich. Ale muszę zadowolić się ogólnym zapewnieniem, że podróżnicy zaciągnęli ogromny dług publiczny. Niewątpliwie żywili wielką wdzięczność za okazane zainteresowanie. Pan Brun, który zabrał swój talent pod obce niebo, często wspominał dzień balonu. A kiedy rodzina jednego z dwóch podróżników miała jeszcze dwie ojczyzny, to pośpiesznie złożyła przysięgę wierności tej, która zechciała uhonorować go tyloma znakami dobroci.

Żegnaj mój bardzo drogi hrabio. Wybacz mi tę *gadaninę* patriotyczną i uwierz mi z całym szacunkiem i czułością, jaki znasz od dawna.

Cały i na zawsze Tobie oddany S...

Chambéry, 8 maja 1784.

Expédition nocturne autour de ma chambre

CHAPITRE I

Pour jeter quelque intérêt sur la nouvelle chambre dans laquelle j'ai fait une expédition nocturne, je dois apprendre aux curieux comment elle m'était tombée en partage. Continuellement distrait de mes occupations dans la maison bruyante que j'habitais, je me proposais depuis long-tems de me procurer dans le voisinage une retraite plus solitaire, lorsqu'un jour, en parcourant une notice biographique sur M. de Buffon, j'y lus que cet homme célèbre avait choisi dans ses jardins un pavillon isolé qui ne contenait aucun autre meuble qu'un fauteuil et le bureau sur lequel il écrivait, ni aucun autre ouvrage que le manuscrit auquel il travaillait.

Les chimères dont je m'occupe offrent tant de disparate avec les travaux immortels de M. de Buffon, que la pensée de l'imiter, même en ce point, ne me serait sans doute jamais venue à l'esprit, sans un accident qui m'y détermina. Un domestique, en ôtant la poussière des meubles, crut en voir beaucoup sur un tableau peint au pastel que je venais de terminer, et l'essuya si bien avec un linge, qu'il parvint en effet à le débarrasser de toute la poussière que j'y avais arrangée avec beaucoup de soin. Après m'être mis fort en colère contre cet homme, qui était absent, et ne lui avoir rien dit quand il revint, suivant mon habitude, je me mis aussitôt en campagne, et je rentrai chez moi avec la clef d'une petite chambre que j'avais louée au cinquième étage, dans la rue *de la Providence*. J'y fis transporter dans la même journée les matériaux de mes occupations favorites, et j'y passai dans la suite la plus grande partie de mon tems, à l'abri du fracas domestique et

des nettoyeurs de tableaux. Les heures s'écoulaient pour moi comme des minutes dans ce réduit isolé, et plus d'une fois mes rêveries m'y ont fait oublier l'heure du dîner.

O douce solitude! j'ai connu les charmes dont tu enivres tes amans. Malheur à celui qui ne peut être seul un jour de sa vie, sans éprouver le tourment de l'ennui, et qui préfère, s'il le faut, converser avec des sots plutôt qu'avec lui-même!

Je l'avouerai toutefois, j'aime la solitude dans les grandes villes; mais, à moins que d'y être forcé par quelque circonstance grave, comme un voyage autour de ma chambre, je ne veux être ermite que le matin: le soir, j'aime à revoir des faces humaines. Les inconvéniens de la vie sociale et ceux de la solitude se détruisent ainsi mutuellement, et ces deux modes d'existence s'embellissent l'un par l'autre.

Cependant l'inconstance et la fatalité des choses de ce monde sont telles, que la vivacité même des plaisirs dont je jouissais dans ma nouvelle demeure aurait dû me faire prévoir combien ils seraient de courte durée. La révolution française, qui débordait de toutes parts, venait de surmonter les Alpes, et se précipitait sur l'Italie. Je fus entraîné par la première vague jusqu'à Bologne: je gardai mon ermitage, dans lequel je fis transporter tous mes meubles, jusqu'à des tems plus heureux. J'étais depuis quelques années sans patrie; j'appris un beau matin que j'étais sans emploi. Après une année passée tout entière à voir des hommes et des choses que je n'aimais guère, et à désirer des choses et des hommes que je ne voyais plus, je revins à Turin. Il fallait prendre un parti. Je sortis de l'auberge de la *Bonne-Femme*, où j'étais débarqué, dans l'intention de rendre la petite chambre au propriétaire, et de me défaire de mes meubles.

En rentrant dans mon ermitage, j'éprouvai des sensations difficiles à décrire: tout y avait conservé l'ordre, c'est-à-dire le désordre, dans lequel je l'avais laissé: les meubles entassés contre les murs avaient été mis à l'abri de la poussière par la

hauteur du gîte; mes plumes étaient encore dans l'encrier desséché, et je trouvai sur la table une lettre commencée.

Je suis encore chez moi, me dis-je, avec une véritable satisfaction. Chaque objet me rappelait quelque événement de ma vie, et ma chambre était tapissée de souvenirs. Au lieu de retourner à l'auberge, je pris la résolution de passer la nuit au milieu de mes propriétés: j'envoyai prendre ma valise, et je fis en même tems le projet de partir le lendemain, sans prendre congé ni conseil de personne, m'abandonnant sans réserve à la Providence.

CHAPITRE II

Tandis que je faisais ces réflexions, et tout en me glorifiant d'un plan de voyage bien combiné, le tems s'écoulait, et mon domestique ne revenait point. C'était un homme que la nécessité m'avait fait prendre à mon service depuis quelques semaines, et sur la fidélité duquel j'avais conçu des soupçons. L'idée qu'il pouvait m'avoir emporté ma valise s'était à peine présentée à moi, que je courus à l'auberge: il était tems. Comme je tournais le coin de la rue où se trouve l'hôtel de la *Bonne-Femme*, je le vis sortir précipitamment de la porte, précédé d'un porte-faix chargé de ma valise. Il s'était chargé lui-même de ma cassette, et, au lieu de tourner de mon côté, il s'acheminait à gauche dans une direction opposée à celle qu'il devait tenir. Son intention devenait manifeste. Je le joignis aisément, et, sans lui rien dire, je marchai quelque tems à côté de lui, avant qu'il s'en aperçût. Si l'on voulait peindre l'expression de l'étonnement et de l'effroi, portée au plus haut degré sur la figure humaine, il en aurait été le modèle parfait, lorsqu'il me vit à ses côtés. J'eus tout le loisir d'en faire l'étude; car il était si déconcerté de mon apparition inattendue et du sérieux avec lequel je le regardais, qu'il continua de marcher quelque tems avec moi sans proférer une parole, comme si nous avions été à la promenade ensemble. Enfin il balbutia le prétexte d'une affaire dans la rue *Grand-Doire*; mais je le remis dans le bon chemin, et nous revînmes à la maison ou je le congédiai.

Ce fut alors seulement que je me proposai de faire un nouveau voyage dans ma chambre, pendant la dernière nuit que je devais y passer, et je m'occupai à l'instant même des préparatifs.

CHAPITRE III

Depuis long-tems je désirais revoir le pays que j'avais parcouru jadis si délicieusement, et dont la description ne me paraissait pas complète. Quelques amis qui l'avaient goûtée me sollicitaient de la continuer, et je m'y serais décidé plus tôt sans doute, si je n'avais pas été séparé de mes compagnons de voyage. Je rentrais à regret dans la carrière. Hélas! j'y rentrais seul. J'allais voyager sans mon cher Joannetti et sans l'aimable Rosine. Ma première chambre elle-même avait subi la plus désastreuse révolution; que dis-je? elle n'existait plus. Son enceinte faisait alors partie d'une horrible masure noircie par les flammes, et toutes les inventions meurtrières de la guerre s'étaient réunies pour la détruire de fond en comble. Le mur, auquel était suspendu le portrait de Mme de Hautcastel, avait été percé par une bombe. Enfin, si heureusement je n'avais pas fait mon voyage avant cette catastrophe, les savans de nos jours n'auraient jamais eu connaissance de cette chambre remarquable. C'est ainsi que, sans les observations d'Hipparque, ils ignoreraient aujourd'hui qu'il existait jadis une étoile de plus dans les Pléiades, qui est disparue depuis ce fameux astronome.

Déjà, forcé par les circonstances, j'avais depuis quelque tems abandonné ma chambre et transporté mes pénates ailleurs. Le malheur n'est pas grand, dira-t-on. Mais comment remplacer Joannetti et Rosine? Ah! cela n'est pas possible. Joannetti m'était devenu si nécessaire que sa perte ne sera jamais réparée pour moi. Qui peut, au reste, se flatter de vivre toujours avec les personnes qu'il chérit? Semblable à ces essaims de moucherons que l'on voit tourbillonner dans les

airs pendant les belles soirées d'été, les hommes se rencontrent par hasard et pour bien peu de tems. Heureux encore si, dans leur mouvement rapide, aussi adroits que les moucherons, ils ne se rompent pas la tête les uns contre les autres!

Je me couchais un soir. Joannetti me servait avec son zèle ordinaire et paraissait même plus attentif. Lorsqu'il emporta la lumière, je jetai les yeux sur lui, et je vis une altération marquée sur sa physionomie. Devais-je croire cependant que le pauvre Joannetti me servait pour la dernière fois? Je ne tiendrai point le lecteur dans une incertitude plus cruelle que la vérité. Je préfère lui dire sans ménagement que Joannetti se maria dans la nuit même, et me quitta le lendemain.

Mais qu'on ne l'accuse pas d'ingratitude pour avoir quitté son maître si brusquement. Je savais son intention depuis long-tems, et j'avais eu tort de m'y opposer. Un officieux vint de grand matin chez moi pour me donner cette nouvelle, et j'eus le loisir, avant de revoir Joannetti, de me mettre en colère et de m'apaiser, ce qui lui épargna les reproches auxquels il s'attendait. Avant d'entrer dans ma chambre, il affecta de parler haut à quelqu'un depuis la galerie, pour me faire croire qu'il n'avait pas peur; et, s'armant de toute l'effronterie qui pouvait entrer dans une bonne ame comme la sienne, il se présenta d'un air déterminé. Je lus à l'instant sur sa figure tout ce qui se passait dans son ame, et je ne lui en sus pas mauvais gré. Les mauvais plaisans de nos jours ont tellement effrayé les bonnes gens sur ces dangers du mariage, qu'un nouveau marié ressemble souvent à un homme qui vient de faire une chute épouvantable, sans se faire aucun mal, et qui est à la fois troublé de frayeur et de satisfaction, ce qui lui donne un air ridicule. Il n'était donc pas étonnant que les actions de mon fidèle serviteur se ressentissent de la bizarrerie de sa situation.

— Te voilà donc marié, mon cher Joannetti? — lui dis-je en riant. Il ne s'était précautionné que contre ma colère, en sorte que tous ses préparatifs furent perdus. Il retomba tout-à-coup

dans son assiette ordinaire, et même un peu plus bas, car il se mit à pleurer.

— Que voulez-vous, monsieur? me dit-il d'une voix altérée; j'avais donné ma parole.

— Eh morbleu! tu as bien fait, mon ami; puisses-tu être content de ta femme et surtout de toi-même! puisses-tu avoir des enfans qui te ressemblent! Il faudra donc nous séparer!

— Oui, monsieur, nous comptons aller nous établir à Asti.

— Et quand veux-tu me quitter?

Ici Joannetti baissa les yeux d'un air embarrassé, et répondit de deux tons plus bas:

— Ma femme a trouvé un voiturier de son pays qui retourne avec sa voiture vide, et qui part aujourd'hui. Ce serait une belle occasion; mais... cependant... ce sera quand il plaira à monsieur..., quoiqu'une semblable occasion se retrouverait difficilement.

— Eh quoi! si tôt? — lui dis-je. Un sentiment de regret et d'affection, mêlé d'une forte dose de dépit, me fit garder un instant le silence.

— Non certainement, lui répondis-je assez durement, je ne vous retiendrai point; partez à l'heure même, si cela vous arrange.

Joannetti pâlit.

— Oui, pars, mon ami, va trouver ta femme; sois toujours aussi bon, aussi honnête que tu l'as été avec moi.

Nous fîmes quelques arrangemens; je lui dis tristement adieu: il sortit.

Cet homme me servait depuis quinze ans. Un instant nous a séparés. Je ne l'ai plus revu.

Je réfléchissais, en me promenant dans ma chambre, à cette brusque séparation. Rosine avait suivi Joannetti sans qu'il s'en aperçût. Un quart d'heure après, la porte s'ouvrit; Rosine entra. Je vis la main de Joannetti qui la poussa dans la chambre; la porte se referma, et je sentis mon cœur se serrer... Il n'entre

déjà plus chez moi! Quelques minutes ont suffi pour rendre étrangers l'un à l'autre deux vieux compagnons de quinze ans. O triste, triste condition de l'humanité, de ne pouvoir jamais trouver un seul objet stable sur lequel placer la moindre de ses affections!

CHAPITRE IV

Rosine aussi vivait alors loin de moi. Vous apprendrez sans doute avec quelque intérêt, ma chère Marie, qu'à l'âge de quinze ans elle était encore le plus aimable des animaux, et que la même supériorité d'intelligence, qui la distinguait jadis de toute son espèce, lui servit également à supporter le poids de la vieillesse. J'aurais désiré ne m'en point séparer; mais, lorsqu'il s'agit du sort de ses amis, ne doit-on consulter que son plaisir ou son intérêt? L'intérêt de Rosine était de quitter la vie ambulante qu'elle menait avec moi, et de goûter enfin, dans ses vieux jours, un repos que son maître n'espérait plus. Son grand âge m'obligeait à la faire porter. Je crus devoir lui accorder ses invalides. Une religieuse bienfaisante se chargea de la soigner le reste de ses jours, et je sais que, dans cette retraite, elle a joui de tous les avantages que ses bonnes qualités, son âge et sa réputation, lui avaient si justement mérités.

Et puisque telle est la nature des hommes, que le bonheur semble n'être pas fait pour eux, puisque l'ami offense son ami sans le vouloir, et que les amans eux-mêmes ne peuvent vivre sans se quereller; enfin puisque, depuis Lycurgue jusqu'à nos jours, tous les législateurs ont échoué dans leurs efforts pour rendre les hommes heureux, j'aurai du moins la consolation d'avoir fait le bonheur d'un chien.

CHAPITRE V

Maintenant que j'ai fait connaître au lecteur les derniers traits de l'histoire de Joannetti et de Rosine, il ne me reste plus qu'à dire un mot de l'ame et de la bête, pour être parfaitement en règle avec lui. Ces deux personnages, le dernier surtout, ne joueront plus un rôle aussi intéressant dans mon voyage. Un aimable voyageur, qui a suivi la même carrière que moi prétend qu'ils doivent être fatigués. Hélas! il n'a que trop raison. Ce n'est pas que mon ame ait rien perdu de son activité, autant du moins qu'elle peut s'en apercevoir; mais ses relations avec l'*autre* ont changé. Celle-ci n'a plus la même vivacité dans ses reparties; elle n'a plus... comment expliquer cela?... J'allais dire la même présence d'esprit, comme si une bête pouvait en avoir! Quoi qu'il en soit, et sans entrer dans une explication embarrassante, je dirai seulement qu'entraîné par la confiance que me témoignait la jeune Alexandrine je lui avais écrit une lettre assez tendre, lorsque j'en reçus une réponse polie, mais froide, qui finissait par ces propres termes: "Soyez sûr, monsieur, que je conserverai toujours pour vous les sentimens de l'estime la plus sincère." Juste ciel! m'écriai-je aussitôt; me voilà perdu. Depuis ce jour fatal, je résolus de ne plus mettre en avant mon système de l'ame et de la bête. En conséquence, sans faire de distinction entre ces deux êtres et sans les séparer, je les ferai passer l'un portant l'autre, comme certains marchands leurs marchandises, et je voyagerai en bloc pour éviter tout inconvénient.

CHAPITRE VI

Il serait inutile de parler des dimensions de ma nouvelle chambre. Elle ressemble si fort à la première qu'on s'y méprendrait au premier coup d'œil, si, par une précaution de l'architecte, le plafond ne s'inclinait obliquement du côté de la rue, et ne laissait au toit la direction qu'exigent les lois de l'hydraulique pour l'écoulement de la pluie. Elle reçoit le jour par une seule ouverture de deux pieds et demi de large sur quatre pieds de haut, élevée de six à sept pieds environ au-dessus du plancher, et à laquelle on arrive au moyen d'une petite échelle.

L'élévation de ma fenêtre, au-dessus du plancher, est une de ces circonstances heureuses qui peuvent être également dues au hasard ou au génie de l'architecte. Le jour presque perpendiculaire qu'elle répandait dans mon réduit lui donnait un aspect mystérieux. Le temple antique du Panthéon reçoit le jour à peu près de la même manière. En outre aucun objet extérieur ne pouvait me distraire. Semblable à ces navigateurs qui, perdus sur le vaste océan, ne voient plus que le ciel et la mer, je ne voyais que le ciel et ma chambre, et les objets extérieurs les plus voisins, sur lesquels pouvaient se porter mes regards, étaient la lune, ou l'étoile du matin; ce qui me mettait dans un rapport immédiat avec le ciel, et donnait à mes pensées un vol élevé qu'elles n'auraient jamais eu si j'avais choisi mon logement au rez-de-chaussée.

La fenêtre dont j'ai parlé s'élevait au-dessus du toit et formait la plus jolie lucarne. Sa hauteur sur l'horizon était si grande que, lorsque les premiers rayons du soleil venaient

l'éclairer, il faisait encore sombre dans la rue. Aussi je jouissais d'une des plus belles vues qu'on puisse imaginer. Mais la plus belle vue nous fatigue bientôt lorsqu'on la voit trop souvent; l'œil s'y habitue et l'on n'en fait plus de cas. La situation de ma fenêtre me préservait encore de cet inconvénient, parce que je ne voyais jamais le magnifique spectacle de la campagne de Turin, sans monter quatre ou cinq échelons, ce qui me procurait des jouissances toujours vives parce qu'elles étaient ménagées. Lorsque, fatigué, je voulais me donner une agréable récréation, je terminais ma journée en montant à ma fenêtre.

Au premier échelon, je ne voyais encore que le ciel; bientôt le temple colossal de Supergue commençait à paraître. La colline de Turin, sur laquelle il repose, s'élevait peu à peu devant moi, couverte de forêts et de riches vignobles, offrant avec orgueil au soleil couchant ses jardins et ses palais, tandis que des habitations simples et modestes semblaient se cacher à moitié dans ses vallons, pour servir de retraite au sage et favoriser ses méditations.

Charmante colline! tu m'as vu souvent rechercher tes retraites solitaires et préférer tes sentiers écartés aux promenades brillantes de la capitale; tu m'as vu souvent perdu dans tes labyrinthes de verdure, attentif au chant de l'alouette matinale, le cœur plein d'une vague inquiétude et du désir ardent de me fixer pour jamais dans tes vallons enchantés. — Je te salue, colline charmante! tu es peinte dans mon cœur! Puisse la rosée céleste rendre, s'il est possible, tes champs plus fertiles et tes bocages plus touffus! puissent tes habitans jouir en paix de leur bonheur, et tes ombrages leur être favorables et salutaires! puisse enfin ton heureuse terre être toujours le doux asile de la vraie philosophie, de la science modeste, de l'amitié sincère et hospitalière que j'y ai trouvée!

CHAPITRE VII

Je commençai mon voyage à huit heures du soir précises. Le tems était calme et promettait une belle nuit. J'avais pris mes précautions pour ne pas être dérangé par des visites qui sont très-rares à la hauteur où je logeais, dans les circonstances surtout où je me trouvais alors, et pour rester seul jusqu'à minuit. Quatre heures suffisaient amplement à l'exécution de mon entreprise, ne voulant faire pour cette fois qu'une simple excursion autour de ma chambre. Si le premier voyage a duré quarante-trois jours, c'est parce que je n'avais pas été le maître de le faire plus court. Je ne voulus pas non plus m'assujettir à voyager beaucoup en voiture, comme auparavant, persuadé qu'un voyageur pédestre voit beaucoup de choses qui échappent à celui qui court la poste. Je résolus donc d'aller alternativement, et suivant les circonstances, à pied ou à cheval: nouvelle méthode que je n'ai pas encore fait connaître et dont on verra bientôt l'utilité. Enfin je me proposai de prendre des notes en chemin et d'écrire mes observations, à mesure que je les faisais, pour ne rien oublier.

Afin de mettre de l'ordre dans mon entreprise, et de lui donner une nouvelle chance de succès, je pensai qu'il fallait commencer par composer une épître dédicatoire, et l'écrire en vers pour la rendre plus intéressante. Mais deux difficultés m'embarrassaient et faillirent à m'y faire renoncer, malgré tout l'avantage que j'en pouvais retirer. La première était de savoir à qui j'adresserais l'épître, la seconde comment je m'y prendrais pour faire des vers. Après y avoir mûrement réfléchi, je ne tardai pas à comprendre qu'il était raisonnable de faire

premièrement mon épître de mon mieux, et de chercher ensuite quelqu'un à qui elle pût convenir. Je me mis à l'instant à l'ouvrage, et je travaillai pendant plus d'une heure, sans pouvoir trouver une rime au premier vers que j'avais fait et que je voulais conserver, parce qu'il me paraissait très-heureux. Je me souvins alors fort à propos d'avoir lu quelque part que le célèbre Pope ne composait jamais rien d'intéressant sans être obligé de déclamer long-tems à haute voix, et de s'agiter en tous sens dans son cabinet pour exciter sa verve. J'essayai à l'instant de l'imiter. Je pris les poésies d'Ossian et je les récitai tout haut, en me promenant à grands pas pour me monter à l'enthousiasme.

Je vis en effet que cette méthode exaltait insensiblement mon imagination, et me donnait un sentiment secret de capacité poétique dont j'aurais certainement profité pour composer, avec succès, mon épître dédicatoire en vers, si malheureusement je n'avais oublié l'obliquité du plafond de ma chambre, dont l'abaissement rapide empêcha mon front d'aller aussi avant que mes pieds dans la direction que j'avais prise. Je frappai si rudement de la tête contre cette maudite cloison que le toit de la maison en fut ébranlé: les moineaux qui dormaient sur les tuiles s'envolèrent épouvantés, et le contre-coup me fit reculer de trois pas en arrière.

CHAPITRE VIII

Tandis que je me promenais ainsi pour exciter ma verve, une jeune et jolie femme, qui logeait au-dessous de moi, étonnée du tapage que je faisais, et, croyant peut-être que je donnais un bal dans ma chambre, députa son mari pour s'informer de la cause du bruit. J'étais encore tout étourdi de la contusion que j'avais reçue, lorsque la porte s'entr'ouvrit. Un homme âgé, portant un visage mélancolique, avança la tête et promena ses regards curieux dans la chambre. Quand la surprise de me trouver seul lui permit de parler:

— Ma femme a la migraine, monsieur, me dit-il d'un air fâché. Permettez-moi de vous faire observer que...

Je l'interrompis aussitôt, et mon style se ressentit de la hauteur de mes pensées.

— Respectable messager de ma belle voisine, lui dis-je dans le langage des Bardes, pourquoi tes yeux brillent-ils sous tes épais sourcils, comme deux météores dans la forêt noire de Cromba? Ta belle compagne est un rayon de lumière, et je mourrais mille fois, plutôt que de vouloir troubler son repos; mais ton aspect, ô respectable messager!... ton aspect est sombre comme la voûte la plus reculée de la caverne de Carmora, lorsque les nuages amoncelés de la tempête obscurcissent la face de la nuit, et pèsent sur les campagnes silencieuses de Morven.

Le voisin, qui n'avait apparemment jamais lu les poésies d'Ossian, prit mal à propos l'accès d'enthousiasme qui m'animait pour un accès de folie, et parut fort embarrassé. Mon intention n'étant point de l'offenser, je lui offris un siège, et je le priai de

s'asseoir; mais je m'aperçus qu'il se retirait doucement, et se signait en disant à demi-voix:

— *È matto, per Bacco, è matto!*

CHAPITRE IX

Je le laissai sortir sans vouloir approfondir jusqu'à quel point son observation était fondée, et je m'assis à mon bureau pour prendre note de ces événemens, comme je fais toujours; mais, à peine eus-je ouvert un tiroir dans lequel j'espérais trouver du papier, que je le refermai brusquement, troublé par un des sentimens les plus désagréables que l'on puisse éprouver, celui de l'amour-propre humilié. L'espèce de surprise dont je fus saisi dans cette occasion, ressemble à celle qu'éprouve un voyageur altéré, lorsqu'approchant ses lèvres d'une fontaine limpide il aperçoit au fond de l'eau une grenouille qui le regarde. Ce n'était cependant autre chose que les ressorts et la carcasse d'une colombe artificielle, qu'à l'exemple d'Archytas je m'étais proposé jadis de faire voler dans les airs. J'avais travaillé sans relâche à sa construction pendant plus de trois mois. Le jour de l'essai venu, je la plaçai sur le bord d'une table, après avoir soigneusement fermé la porte, afin de tenir la découverte secrète, et de causer une aimable surprise à mes amis. Un fil tenait le mécanisme immobile. Qui pourrait imaginer les palpitations de mon cœur et les angoisses de mon amour--propre, lorsque j'approchai les ciseaux pour couper le lien fatal?... Zest... le ressort de la colombe part et se développe avec bruit. Je lève les yeux pour la voir passer; mais, après avoir fait quelques tours sur elle-même, elle tombe et va se cacher sous la table. Rosine, qui dormait là, s'éloigna tristement. Rosine, qui ne vit jamais ni poulet, ni pigeon, ni le plus petit oiseau sans les attaquer et les poursuivre, ne daigna pas même regarder

ma colombe qui se débattait sur le plancher… Ce fut le coup de grâce pour mon amour-propre. J'allai prendre l'air sur les remparts.

CHAPITRE X

Tel fut le sort de ma colombe artificielle. Tandis que le génie de la mécanique la destinait à suivre l'aigle dans les cieux, le destin lui donna les inclinations d'une taupe.

Je me promenais tristement et découragé, comme on l'est toujours après une grande espérance déçue, lorsque, levant les yeux, j'aperçus un vol de grues qui passait sur ma tête. Je m'arrêtai pour les examiner. Elles s'avançaient en ordre triangulaire, comme la colonne anglaise à la bataille de Fontenoy. Je les voyais traverser le ciel de nuage en nuage. — Ah! qu'elles volent bien! disais-je tout bas; avec quelle assurance elles semblent glisser sur l'invisible sentier qu'elles parcourent!

L'avouerai-je? hélas! qu'on me le pardonne! L'horrible sentiment de l'envie est une fois, une seule fois entré dans mon cœur, et c'était pour des grues. Je les poursuivis de mes regards jaloux jusqu'aux bornes de l'horizon. Long-tems immobile au milieu de la foule qui se promenait, j'observais le mouvement rapide des hirondelles, et je m'étonnais de les voir suspendues dans les airs, comme si je n'avais jamais vu ce phénomène. Le sentiment d'une admiration profonde, inconnu pour moi jusqu'alors, éclairait mon ame. Je croyais voir la nature pour la première fois. J'entendais avec surprise le bourdonnement des mouches, le chant des oiseaux, et ce bruit mystérieux et confus de la création vivante qui célèbre involontairement son auteur. Concert ineffable, auquel l'homme seul a le privilège sublime de pouvoir joindre des accens de reconnaissance!

— Quel est l'auteur de ce brillant mécanisme? m'écriai-je dans le transport qui m'animait. Quel est celui qui, ouvrant

sa main créatrice, laissa échapper la première hirondelle dans les airs? Celui qui donna l'ordre à ces arbres de sortir de la terre et d'élever leurs rameaux vers le ciel? Et toi, qui t'avances majestueusement sous leur ombre, créature ravissante, dont les traits commandent le respect et l'amour, qui t'a placée sur la surface de la terre pour l'embellir? Quelle est la pensée qui dessina tes formes divines, qui fut assez puissante pour créer le regard et le sourire de l'innocente beauté?... Et moi-même qui sens palpiter mon cœur... Quel est le but de mon existence? que suis-je, et d'où viens-je! moi, l'auteur de la colombe artificielle centripète?...

A peine eus-je prononcé ce mot barbare, que, revenant tout-à-coup à moi comme un homme endormi sur lequel on jetterait un seau d'eau, je m'aperçus que plusieurs personnes m'avaient entouré pour m'examiner, tandis que mon enthousiasme me faisait parler seul. Je vis alors la belle Georgine qui me devançait de quelques pas. La moitié de sa joue gauche, chargée de rouge, que j'entrevoyais à travers les boucles de sa perruque blonde, acheva de me remettre au courant des affaires de ce monde, dont je venais de faire une petite absence.

CHAPITRE XI

Dès que je fus un peu remis du trouble que m'avait causé l'aspect de ma colombe artificielle, la douleur de la contusion que j'avais reçue se fit sentir vivement. Je passai la main sur mon front, et j'y reconnus une nouvelle protubérance précisément à cette partie de la tête où le docteur Gall a placé la protubérance poétique. Mais je n'y songeais point alors, et l'expérience devait seule me démontrer la vérité du système de cet homme célèbre.

Après m'être recueilli quelques instans pour faire un dernier effort en faveur de mon épître dédicatoire, je pris un crayon et me mis à l'ouvrage. Quel fut mon étonnement!... les vers coulaient d'eux-mêmes sous ma plume; j'en remplis deux pages en moins d'une heure, et je conclus de cette circonstance que, si le mouvement était nécessaire à la tête de Pope pour composer des vers, il ne fallait pas moins qu'une contusion pour en tirer de la mienne. Je ne donnerai cependant pas au lecteur ceux que je fis alors, parce que la rapidité prodigieuse avec laquelle se succédaient les aventures de mon voyage m'empêcha d'y mettre la dernière main. Malgré cette réticence, il n'est pas douteux qu'on doit regarder l'accident qui m'était arrivé comme une découverte précieuse, et dont les poètes ne sauraient trop user.

Je suis en effet si convaincu de l'infaillibilité de cette nouvelle méthode, que, dans le poème en vingt-quatre chants que j'ai composé depuis lors, et qui sera publié avec *La Prisonnière de Pignerol*, je n'ai pas cru nécessaire jusqu'à présent de commencer les vers; mais j'ai mis au net cinq cents pages de

notes qui forment, comme l'on sait, tout le mérite et le volume de la plupart des poèmes modernes.

Comme je rêvais profondément à mes découvertes, en marchant dans ma chambre, je rencontrai mon lit sur lequel je tombai assis, et ma main se trouvant par hasard placée sur mon bonnet, je pris le parti de m'en couvrir la tête et de me coucher.

CHAPITRE XII

J'étais au lit depuis un quart d'heure, et, contre mon ordinaire, je ne dormais point encore. A l'idée de mon épître dédicatoire, avaient succédé les réflexions les plus tristes: ma lumière, qui tirait vers sa fin, ne jetait plus qu'une lueur inconstante et lugubre du fond de la bobèche, et ma chambre avait l'air d'un tombeau. Un coup de vent ouvrit tout-à-coup la fenêtre, éteignit ma bougie, et ferma la porte avec violence. La teinte noire de mes pensées s'accrut avec l'obscurité.

Tous mes plaisirs passés, toutes mes peines présentes vinrent fondre à la fois dans mon cœur, et le remplirent de regrets et d'amertume.

Quoique je fasse des efforts continuels pour oublier mes chagrins et les chasser de ma pensée, il m'arrive quelquefois, lorsque je n'y prends pas garde, qu'ils rentrent tous à la fois dans ma mémoire, comme si on leur ouvrait une écluse. Il ne me reste plus d'autre parti à prendre dans ces occasions, que de m'abandonner au torrent qui m'entraîne, et mes idées deviennent alors si noires, tous les objets me paraissent si lugubres, que je finis ordinairement par rire de ma folie, en sorte que le remède se trouve dans la violence même du mal.

J'étais encore dans toute la force d'une de ces crises mélancoliques, lorsqu'une partie de la bouffée de vent qui avait ouvert ma fenêtre et fermé ma porte en passant, après avoir fait quelques tours dans ma chambre, feuilleté mes livres et jeté une feuille volante de mon voyage par terre, entra finalement dans mes rideaux, et vint mourir sur ma joue. Je sentis la douce

fraîcheur de la nuit, et, regardant cela comme une invitation de sa part, je me levai tout de suite, et j'allai sur mon échelle jouir du calme de la nature.

CHAPITRE XIII

Le tems était serein: la voie lactée, comme un léger nuage, partageait le ciel; un doux rayon partait de chaque étoile pour venir jusqu'à moi, et, lorsque j'en examinais une attentivement, ses compagnes semblaient scintiller plus vivement pour attirer mes regards.

C'est un charme toujours nouveau pour moi, que celui de contempler le ciel étoilé, et je n'ai pas à me reprocher d'avoir fait un seul voyage, ni même une simple promenade nocturne, sans payer le tribut d'admiration que je dois aux merveilles du firmament. Quoique je sente toute l'impuissance de ma pensée dans ces hautes méditations, je trouve un plaisir inexprimable à m'en occuper. J'aime à penser que ce n'est point le hasard qui conduit jusqu'à mes yeux cette émanation des inondes éloignés, et chaque étoile verse avec sa lumière un rayon d'espérance dans mon cœur. Eh quoi! ces merveilles n'auraient-elles d'autre rapport avec moi que celui de briller à mes yeux? Et ma pensée qui s'élève jusqu'à elles, mon cœur qui s'émeut à leur aspect, leur seraient-ils étrangers?... Spectateur éphémère d'un spectacle éternel, l'homme lève un instant les yeux vers le ciel, et les referme pour toujours; mais, pendant cet instant rapide, qui lui est accordé, de tous les points du ciel et depuis les bornes de l'univers, un rayon consolateur part de chaque monde, et vient frapper ses regards pour lui annoncer qu'il existe un rapport entre l'immensité et lui, et qu'il est associé à l'éternité.

CHAPITRE XIV

Un sentiment fâcheux troublait cependant le plaisir que j'éprouvais en me livrant à ces méditations. Combien peu de personnes, me disais-je, jouissent maintenant avec moi du spectacle sublime que le ciel étale inutilement pour les hommes assoupis!... Passe encore pour ceux qui dorment; mais qu'en coûterait-il à ceux qui se promènent, à ceux qui sortent en foule du théâtre, de regarder un instant, et d'admirer les brillantes constellations qui rayonnent de toutes parts sur leur tête? Non, les spectateurs attentifs de Scapin ou de Jocrisse ne daigneront pas lever les yeux: ils vont rentrer brutalement chez eux, ou ailleurs, sans songer que le ciel existe. Quelle bizarrerie!... parce qu'on peut le voir souvent et gratis, ils n'en veulent pas. Si le firmament était toujours voilé pour nous, si le spectacle qu'il nous offre dépendait d'un entrepreneur, les premières loges sur les toits seraient hors de prix, et les dames de Turin s'arracheraient ma lucarne.

— Oh! si j'étais souverain d'un pays, m'écriai-je, saisi d'une juste indignation, je ferais chaque nuit sonner le tocsin, et j'obligerais mes sujets de tout âge, de tout sexe et de toute condition de se mettre à la fenêtre et de regarder les étoiles.

Ici la raison, qui, dans mon royaume, n'a qu'un droit contesté de remontrance, fut cependant plus heureuse qu'à l'ordinaire dans les représentations qu'elle me proposa au sujet de l'édit inconsidéré que je voulais proclamer dans mes états.

— Sire, me dit-elle, votre majesté ne daignerait-elle pas faire une exception en faveur des nuits pluvieuses, puisque, dans ce cas, le ciel étant couvert...

— Fort bien, fort bien, répondis-je, je n'y avais pas songé: vous noterez une exception en faveur des nuits pluvieuses.

— Sire, ajouta-t-elle, je pense qu'il serait à propos d'excepter aussi les nuits sereines, lorsque le froid est excessif et que la bise souffle, puisque l'exécution rigoureuse de l'édit accablerait vos heureux sujets de rhumes et de catarrhes.

Je commençais à voir beaucoup de difficultés dans l'exécution de mon projet, mais il m'en coûtait de revenir sur mes pas.

— Il faudra, dis-je, écrire-au conseil de médecine et à l'académie des sciences, pour fixer le degré du thermomètre centigrade auquel mes sujets pourront se dispenser de se mettre à la fenêtre; mais je veux, j'exige absolument que l'ordre soit exécuté à la rigueur.

— Et les malades, sire?

— Cela va sans dire; qu'ils soient exceptés: l'humanité doit aller avant tout.

— Si je ne craignais de fatiguer votre majesté, je lui ferais encore observer que l'on pourrait (dans le cas où elle le jugerait à propos, et que la chose ne présentât pas de grands inconvéniens) ajouter aussi une exception en faveur des aveugles, puisqu'étant privés de l'organe de la vue...

— Eh bien! est-ce tout? interrompis-je avec humeur.

— Pardon, sire; mais les amoureux? le cœur débonnaire de votre majesté pourrait-il les contraindre à regarder aussi les étoiles? C'est bon, c'est bon, dit le roi, remettons cela; nous y penserons à tête reposée. Vous me donnerez un mémoire détaillé là-dessus.

Bon Dieu!... bon Dieu!... combien il faut y réfléchir, avant de donner un édit de haute police!

CHAPITRE XV

Les étoiles les plus brillantes n'ont jamais été celles que je contemple avec plus de plaisir; mais les plus petites, celles qui, perdues dans un éloignement incommensurable, ne paraissent que comme des points imperceptibles, ont toujours été mes étoiles favorites. La raison en est toute simple: on concevra facilement qu'en faisant faire à mon imagination autant de chemin de l'autre côté de leur sphère, que mes regards en font de celui-ci, pour parvenir jusqu'à elles, je me trouve porté sans effort à une distance où peu de voyageurs sont parvenus avant moi, et je m'étonne, en me trouvant là, de n'être encore qu'au commencement de ce vaste univers: car il serait, je crois, ridicule de penser qu'il existe une barrière au-delà de laquelle le néant commence; comme si le néant était plus facile à comprendre que l'existence! Après la dernière étoile, j'en imagine encore une autre, qui ne saurait non plus être la dernière. En assignant des limites à la création, tant soient-elles éloignées, l'univers ne me paraît plus qu'un point lumineux comparé à l'immensité de l'espace vide qui l'environne, à cet affreux et sombre néant, au milieu duquel il serait suspendu comme une lampe solitaire.

Ici je me couvris les yeux avec les deux mains, pour éloigner toute espèce de distraction, et donner à mes idées la profondeur qu'un semblable sujet exige; et, faisant un effort de tête surnaturel, je composai un système du monde, le plus complet qui ait encore paru. Le voici dans tous ses détails; il est le résultat des méditations de toute ma vie. “Je crois que l'espace étant...”. Mais ceci mérite un chapitre à part; et, vu l'importance de la matière, il sera le seul de mon voyage qui portera un titre.

CHAPITRE XVI

Système du Monde

Je crois donc que l'espace étant infini, la création l'est aussi, et que Dieu a créé dans son éternité une infinité de mondes dans l'immensité de l'espace.

CHAPITRE XVII

J'avouerai cependant de bonne foi que je ne comprends guère mieux mon système que tous les autres systèmes éclos jusqu'à ce jour de l'imagination des philosophes anciens et modernes; mais le mien a l'avantage précieux d'être contenu dans quatre lignes, tout énorme qu'il est. Le lecteur indulgent voudra bien observer aussi qu'il a été composé tout entier au sommet d'une échelle. Je l'aurais cependant embelli de commentaires et de notes, si, dans le moment où j'étais le plus fortement occupé de mon sujet, je n'avais été distrait par des sons enchanteurs qui vinrent frapper agréablement mon oreille. Une voix telle que je n'en ai jamais entendu de plus mélodieuse, sans en excepter même celle de Zénéide, une de ces voix qui sont toujours à l'unisson des fibres de mon cœur, chantait tout près de moi une romance dont je ne perdis pas un mot, et qui ne sortira jamais de ma mémoire. En écoutant avec attention, je découvris que la voix partait d'une fenêtre plus basse que la mienne: malheureusement je ne pouvais la voir, l'extrémité du toit, au-dessus duquel s'élevait ma lucarne, la cachant à mes yeux. Cependant le désir d'apercevoir la sirène qui me charmait par ses accords augmentait à proportion du charme de la romance dont les paroles touchantes auraient arraché des larmes à l'être le plus insensible. Bientôt, ne pouvant plus résister à ma curiosité, je montai jusqu'au dernier échelon, je mis un pied sur le bord du toit, et, me tenant d'une main au montant de la fenêtre, je me suspendis ainsi sur la rue, au risque de me précipiter.

Je vis alors sur un balcon à ma gauche, un peu au-dessous de moi, une jeune femme en déshabillé blanc: sa main soutenait

sa tête charmante, assez penchée pour laisser entrevoir, à la lueur des astres, le profil le plus intéressant, et son attitude semblait imaginée pour présenter dans tout son jour, à un voyageur aérien comme moi, une taille svelte et bien prise: un de ses pieds nus, jeté négligemment en arrière, était tourné de façon qu'il m'était possible, malgré l'obscurité, d'en présumer les heureuses dimensions, tandis qu'une jolie petite mule, dont il était séparé, les déterminait encore mieux à mon œil curieux. Je vous laisse à penser, ma chère Sophie, quelle était la violence de ma situation. Je n'osais faire la moindre exclamation de peur d'effaroucher ma belle voisine, ni le moindre mouvement de peur de tomber dans la rue. Un soupir m'échappa cependant malgré moi, mais je fus à tems d'en retenir la moitié; le reste fut emporté par un zéphyr qui passait, et j'eus tout le loisir d'examiner la rêveuse, soutenu dans cette position périlleuse par l'espoir de l'entendre chanter encore. Mais, hélas! sa romance était finie, et mon mauvais destin lui fit garder le silence le plus opiniâtre. Enfin, après avoir attendu bien long--tems, je crus pouvoir me hasarder à lui adresser la parole: il ne s'agissait plus que de trouver un compliment digne d'elle et des sentimens qu'elle m'avait inspirés. Oh! combien je regrettai de n'avoir pas terminé mon épître dédicatoire en vers! comme je l'aurais placée à propos dans cette occasion! Ma présence d'esprit ne m'abandonna cependant pas au besoin. Inspiré par la douce influence des astres, et par le désir plus puissant encore de réussir auprès d'une belle, après avoir toussé légèrement pour la prévenir, et pour rendre le son de ma voix plus doux:

— Il fait bien beau tems cette nuit — lui dis-je du ton le plus affectueux qu'il me fut possible.

CHAPITRE XVIII

Je crois entendre d'ici Mme de Hautcastel, qui ne me passe rien, me demander compte de la romance dont j'ai parlé dans le chapitre précédent. Pour la première fois de ma vie, je me trouve dans la dure nécessité de lui refuser quelque chose. Si j'insérais ces vers dans mon voyage, on ne manquerait pas de m'en croire l'auteur, ce qui m'attirerait, sur la nécessité des contusions, plus d'une mauvaise plaisanterie que je veux éviter. Je continuerai donc la relation de mon aventure avec mon aimable voisine, aventure dont la catastrophe inattendue, ainsi que la délicatesse avec laquelle je l'ai conduite, sont faites pour intéresser toutes les classes de lecteurs. Mais, avant de savoir ce qu'elle me répondit, et comment fut reçu le compliment ingénieux que je lui avais adressé, je dois répondre d'avance à certaines personnes qui se croient plus éloquentes que moi, et qui me condamneront sans pitié pour avoir commencé la conversation d'une manière si triviale à leur sens. Je leur prouverai que, si j'avais fait de l'esprit dans cette occasion importante, j'aurais manqué ouvertement aux règles de la prudence et du bon goût. Tout homme qui entre en conversation avec une belle en disant un bon mot ou en faisant un compliment, quelque flatteur qu'il puisse être, laisse entrevoir des prétentions qui ne doivent paraître que lorsqu'elles commencent à être fondées. En outre, s'il fait de l'esprit, il est évident qu'il cherche à briller, et par conséquent qu'il pense moins à sa dame qu'à lui-même. Or les dames veulent qu'on s'occupe d'elles; et, quoique elles ne fassent pas toujours exactement les mêmes réflexions que je viens d'écrire, elles possèdent un sens exquis et naturel qui

leur apprend qu'une phrase triviale, dite par le seul motif de lier la conversation et de s'approcher d'elles, vaut mille fois mieux qu'un trait d'esprit inspiré par la vanité, et mieux encore (ce qui paraîtra bien étonnant) qu'une épître dédicatoire en vers. Bien plus, je soutiens (dût mon sentiment être regardé comme un paradoxe) que cet esprit léger et brillant de la conversation n'est pas même nécessaire dans la plus longue liaison, si c'est vraiment le cœur qui l'a formée; et, malgré tout ce que les personnes qui n'ont aimé qu'à demi disent des longs intervalles que laissent entre eux les sentimens vifs de l'amour et de l'amitié, la journée est toujours courte lorsqu'on la passe auprès de son amie, et le silence est aussi intéressant que la discussion.

Quoi qu'il en soit de ma dissertation, il est très-sûr que je ne vis rien de mieux à dire, sur le bord du toit où je me trouvais, que les paroles en question. Je ne les eus pas plus tôt prononcées que mon ame se transporta tout entière au tympan de mes oreilles, pour saisir jusqu'à la moindre nuance des sons que j'espérais entendre. La belle releva sa tête pour me regarder: ses longs cheveux se déployèrent comme un voile, et servirent de fond à son visage charmant qui réfléchissait la lumière mystérieuse des étoiles. Déjà sa bouche était entr'ouverte, ses douces paroles s'avançaient sur ses lèvres... Mais, ô ciel! quelle fut ma surprise et ma terreur!... Un bruit sinistre se fit entendre:

— Que faites-vous là, madame, à cette heure? Rentrez! — dit une voix mâle et sonore, dans l'intérieur de l'appartement. Je fus pétrifié.

CHAPITRE XIX

Tel doit être le bruit qui vient effrayer les coupables, lorsqu'on ouvre tout-à-coup devant eux les portes brûlantes du Tartare; ou tel encore doit être celui que font, sous les voûtes infernales, les sept cataractes du Styx, dont les poètes ont oublié de parler.

CHAPITRE XX

Un feu follet traversa le ciel en ce moment, et disparut presque aussitôt. Mes yeux, que la clarté du météore avait détournés un instant, se reportèrent sur le balcon, et n'y virent plus que la petite pantoufle. Ma voisine, dans sa retraite précipitée, avait oublié de la reprendre. Je contemplai long-tems ce joli moule d'un pied digne du ciseau de Praxitèle, avec une émotion dont je n'oserais avouer toute la force; mais, ce qui pourra paraître bien singulier, et ce dont je ne saurais me rendre raison à moi--même, c'est qu'un charme insurmontable m'empêchait d'en détourner mes regards, malgré tous les efforts que je faisais pour les porter sur d'autres objets.

On raconte que, lorsqu'un serpent regarde un rossignol, le malheureux oiseau, victime d'un charme irrésistible, est forcé de s'approcher du reptile vorace. Ses ailes rapides ne lui servent plus qu'à le conduire à sa perte, et chaque effort qu'il fait pour s'éloigner le rapproche de l'ennemi qui le poursuit de son regard inévitable.

Tel était sur moi l'effet de cette pantoufle, sans que cependant je puisse dire avec certitude qui, de la pantoufle ou de moi, était le serpent, puisque, selon les lois de la physique, l'attraction devait être réciproque. Il est certain que cette influence funeste n'était point un jeu de mon imagination. J'étais si réellement et si fortement attiré, que je fus deux fois au moment de lâcher la main, et de me laisser tomber. Cependant, comme le balcon sur lequel je voulais aller n'était pas exactement sous ma fenêtre, mais un peu de côté, je vis fort bien que, la force de gravitation inventée par Newton venant

à se combiner avec l'attraction oblique de la pantoufle, j'aurais suivi dans ma chute une diagonale, et je serais tombé sur une guérite, qui ne me paraissait pas plus grosse qu'un œuf, de la hauteur où je me trouvais, en sorte que mon but aurait été manqué... Je me cramponnai donc plus fortement encore à la fenêtre, et, faisant un effort de résolution, je parvins à lever les yeux et à regarder le ciel.

CHAPITRE XXI

Je serais fort en peine d'expliquer et de définir exactement l'espèce de plaisir que j'éprouvais dans cette circonstance. Tout ce que je puis affirmer, c'est qu'il n'avait rien de commun avec celui que m'avait fait ressentir, quelques momens plus tôt, l'aspect de la voie lactée et du ciel étoilé. Cependant, comme, dans les situations les plus embarrassantes de ma vie, j'ai toujours aimé me rendre raison de ce qui se passe dans mon ame, je voulus à cette occasion me faire une idée bien nette du plaisir que peut ressentir un honnête homme lorsqu'il contemple la pantoufle d'une dame, comparé au plaisir que lui fait éprouver la contemplation des étoiles. Pour cet effet, je choisis dans le ciel la constellation la plus apparente. C'était, si je ne me trompe, la chaise de Cassiopée, qui se trouvait au--dessus de ma tête, et je regardai tour à tour la constellation et la pantoufle, la pantoufle et la constellation. Je vis alors que ces deux sensations étaient de nature toute différente: l'une était dans ma tête, tandis que l'autre me semblait avoir son siège dans la région du cœur. Mais ce que je n'avouerai pas sans un peu de honte, c'est que l'attrait qui me portait vers la pantoufle enchantée absorbait toutes mes facultés. L'enthousiasme que m'avait causé quelque tems auparavant l'aspect du ciel étoile n'existait plus que faiblement, et bientôt il s'anéantit tout-à-fait, lorsque j'entendis la porte du balcon se rouvrir, et que j'aperçus un petit pied, plus blanc que l'albâtre, s'avancer doucement et s'emparer de la petite mule. Je voulus parler; mais, n'ayant pas eu le tems de me préparer comme la première fois, je ne

retrouvai plus ma présence d'esprit ordinaire, et j'entendis la porte du balcon se refermer avant d'avoir imaginé quelque chose de convenable à dire.

CHAPITRE XXII

Les chapitres précédens suffiront, j'espère, pour répondre victorieusement à une inculpation de Mme de Hautcastel, qui n'a pas craint de dénigrer mon premier voyage, sous le prétexte qu'on n'a pas l'occasion d'y faire l'amour. Elle ne pourrait faire à ce nouveau voyage le même reproche; et, quoique mon aventure avec mon aimable voisine n'ait pas été poussée bien loin, je puis assurer que j'y trouvai plus de satisfaction que dans plus d'une autre circonstance, où je m'étais imaginé être très-heureux, faute d'objet de comparaison. Chacun jouit de la vie à sa manière; mais je croirais manquer à ce que je dois à la bienveillance du lecteur, si je lui laissais ignorer une découverte qui, plus que toute autre chose, a contribué jusqu'ici à mon bonheur (à condition toutefois que cela restera entre nous): car il ne s'agit de rien moins que d'une nouvelle méthode de faire l'amour, beaucoup plus avantageuse que la précédente, sans avoir aucun de ses nombreux inconvéniens. Cette invention étant spécialement destinée aux personnes qui voudront adopter ma nouvelle manière de voyager, je crois devoir consacrer quelques chapitres à leur instruction.

CHAPITRE XXIII

J'avais observé, dans le cours de ma vie, que, lorsque j'étais amoureux suivant la méthode ordinaire, mes sensations ne répondaient jamais à mes espérances, et que mon imagination se voyait déjouée dans tous ses plans. En y réfléchissant avec attention, je pensai que, s'il m'était possible d'étendre le sentiment qui me porte à l'amour individuel sur tout le sexe qui en est l'objet, je me procurerais des jouissances nouvelles sans me compromettre en aucune façon. Quel reproche, en effet, pourrait-on faire à un homme qui se trouverait pourvu d'un cœur assez énergique pour aimer toutes les femmes aimables de l'univers? Oui, madame, je les aime toutes, et non seulement celles que je connais, ou que j'espère rencontrer, mais toutes celles qui existent sur la surface de la terre. Bien plus, j'aime toutes les femmes qui ont existé, et celles qui existeront, sans compter un bien plus grand nombre encore que mon imagination tire du néant: toutes les femmes possibles enfin sont comprises dans le vaste cercle de mes affections.

Par quel injuste et bizarre caprice renfermerais-je un cœur comme le mien dans les bornes étroites d'une société? Que dis--je? pourquoi circonscrire son essor aux limites d'un royaume ou même d'une république?

Assise au pied d'un chêne battu par la tempête, une jeune veuve indienne mêle ses soupirs au bruit des vents déchaînés. Les armes du guerrier qu'elle aimait sont suspendues sur sa tête, et le bruit lugubre qu'elles font entendre en se heurtant ramène dans son cœur le souvenir de son bonheur passé. Cependant la foudre sillonne les nuages, et la lumière livide

des éclairs se réfléchit dans ses yeux immobiles. Tandis que le bûcher qui doit la consumer s'élève; seule, sans consolation, dans la stupeur du désespoir, elle attend une mort affreuse qu'un préjugé cruel lui fait préférer à la vie.

Quelle douce et mélancolique jouissance n'éprouve point un homme sensible en approchant de cette infortunée pour la consoler? Tandis qu'assis sur l'herbe, à côté d'elle, je cherche à la dissuader de l'horrible sacrifice, et que, mêlant mes soupirs aux siens et mes larmes à ses larmes, je tâche de la distraire de ses douleurs, toute la ville accourt chez Mme d'A***, dont le mari vient de mourir d'un coup d'apoplexie. Résolue aussi de ne point survivre à son malheur, insensible aux larmes et aux prières de ses amis, elle se laisse mourir de faim, et, depuis ce matin, où imprudemment on est venu lui annoncer cette nouvelle, la malheureuse n'a mangé qu'un biscuit, et n'a bu qu'un petit verre de vin de Malaga. Je ne donne à cette femme désolée que la simple attention nécessaire pour ne pas enfreindre les lois de mon système universel, et je m'éloigne bientôt de chez elle, parce que je suis naturellement jaloux, et ne veux pas me compromettre avec une foule de consolateurs, non plus qu'avec les personnes trop aisées à consoler.

Les beautés malheureuses ont particulièrement des droits sur mon cœur, et le tribut de sensibilité que je leur dois n'affaiblit point l'intérêt que je porte à celles qui sont heureuses. Cette disposition varie à l'infini mes plaisirs, et me permet de passer tour à tour de la mélancolie à la gaîté, et d'un repos sentimental à l'exaltation.

Souvent aussi je forme des intrigues amoureuses dans l'histoire ancienne, et j'efface des lignes entières dans les vieux registres du destin. Combien de fois n'ai-je pas arrêté la main parricide de Virginius, et sauvé la vie à sa fille infortunée, victime à la fois de l'excès du crime et de celui de la vertu! Cet événement me remplit de terreur lorsqu'il revient à ma pensée; je ne m'étonne point s'il fut l'origine d'une révolution.

J'espère que les personnes raisonnables, ainsi que les ames compatissantes, me sauront gré d'avoir arrangé cette affaire à l'amiable; et tout homme qui connaît un peu le monde jugera comme moi que, si on avait laissé faire le décemvir, cet homme passionné n'aurait pas manqué de rendre justice à la vertu de Virginie: les parens s'en seraient mêlés; le père Virginius, à la fin, se serait apaisé, et le mariage s'en serait suivi dans toutes les formes voulues par la loi.

Mais le malheureux amant, délaissé, que serait-il devenu? Eh bien, l'amant! qu'a-t-il gagné à ce meurtre? Mais, puisque vous voulez bien vous apitoyer sur son sort, je vous apprendrai, ma chère Marie, que, six mois après la mort de Virginie, il était non seulement consolé, mais très-heureusement marié, et qu'après avoir eu plusieurs enfans il perdit sa femme, et se remaria, six semaines après, avec la veuve d'un tribun du peuple. Ces circonstances, ignorées jusqu'à ce jour, ont été découvertes et déchiffrées dans un manuscrit palimpseste de la Bibliothèque Ambrosienne par un savant antiquaire italien. Elles augmenteront malheureusement d'une page l'histoire abominable et déjà trop longue de la république romaine.

CHAPITRE XXIV

Après avoir sauvé l'intéressante Virginie, j'échappe modestement à sa reconnaissance, et, toujours désireux de rendre service aux belles, je profite de l'obscurité d'une nuit pluvieuse, et je vais furtivement ouvrir le tombeau d'une jeune vestale, que le sénat romain a eu la barbarie de faire enterrer vivante, pour avoir laissé éteindre le feu sacré de Vesta, ou peut-être bien pour s'y être légèrement brûlée. Je marche en silence dans les rues détournées de Rome avec le charme intérieur qui précède les bonnes actions, surtout lorsqu'elles ne sont pas sans danger. J'évite avec soin le Capitole, de peur d'éveiller les oies, et, me glissant à travers les gardes de la porte Colline, j'arrive heureusement au tombeau sans être aperçu.

Au bruit que je fais en soulevant la pierre qui le couvre, l'infortunée détache sa tête échevelée du sol humide du caveau. Je la vois, à la lueur de la lampe sépulcrale, jeter autour d'elle des regards égarés: dans son délire, la malheureuse victime croit être déjà sur les rives du Cocyte.

— O Minos! s'écrie-t-elle, ô juge inexorable! J'aimais, il est vrai, sur la terre, contre les lois sévères de Vesta. Si les dieux sont aussi barbares que les hommes, ouvre, ouvre pour moi les abîmes du Tartare! J'aimais et j'aime encore. Non, non, tu n'es point encore dans le royaume des morts; viens, jeune infortunée, reparais sur la terre, renais à la lumière et à l'amour!

Cependant je saisis sa main déjà glacée par le froid de la tombe; je l'enlève dans mes bras, je la serre contre mon cœur, et je l'arrache enfin de cet horrible lieu, toute palpitante de frayeur et de reconnaissance.

Gardez-vous bien de croire, madame, qu'aucun intérêt personnel soit le mobile de cette bonne action. L'espoir d'intéresser en ma faveur la belle ex-vestale n'entre pour rien dans tout ce que je fais pour elle; car je rentrerais ainsi dans l'ancienne méthode: je puis assurer, parole de voyageur, que, tant qu'a duré notre promenade, depuis la porte Colline jusqu'à l'endroit ou se trouve maintenant le tombeau des Scipions, malgré l'obscurité profonde, et dans les momens même où sa faiblesse m'obligeait de la soutenir dans mes bras, je n'ai cessé de la traiter avec les égards et le respect dus à ses malheurs, et je l'ai scrupuleusement rendue à son amant qui l'attendait sur la route.

CHAPITRE XXV

Une autre fois, conduit par mes rêveries, je me trouvai par hasard à l'enlèvement des Sabines: je vis avec beaucoup de surprise que les Sabins prenaient la chose tout autrement que ne le raconte l'histoire. N'entendant rien à cette bagarre, j'offris ma protection à une femme qui fuyait, et je ne pus m'empêcher de rire en l'accompagnant, lorsque j'entendis un Sabin furieux s'écrier avec l'accent du désespoir:

— Dieux immortels! pourquoi n'ai-je point amené ma femme à la fête?

CHAPITRE XXVI

Outre la moitié du genre humain, à laquelle je porte une si vive affection, le dirai-je et voudra-t-on me croire? Mon cœur est doué d'une telle capacité de tendresse, que tous les êtres vivans et les choses inanimées elles-mêmes en ont aussi une bonne part. J'aime les arbres qui me prêtent leur ombre, et les oiseaux qui gazouillent sous le feuillage, et le cri nocturne de la chouette, et le bruit des torrens: j'aime tout... j'aime la lune!

Vous riez, mademoiselle: il est aisé de tourner en ridicule les sentimens que l'on n'éprouve pas; mais les cœurs qui ressemblent au mien me comprendront.

Oui, je m'attache d'une véritable affection à tout ce qui m'entoure. J'aime les chemins où je passe, la fontaine dans laquelle je bois; je ne me sépare pas sans quelque peine du rameau que j'ai pris au hasard dans une haie: je le regarde encore après l'avoir jeté; nous avions déjà fait connaissance: je regrette les feuilles qui tombent, et jusqu'au zéphyr qui passe. Où est maintenant celui qui agitait tes cheveux noirs, Élisa, lorsqu'assise auprès de moi sur les bords de la Doire, la veille de notre éternelle séparation, tu me regardais dans un triste silence? Où est ton regard? où est cet instant douloureux et chéri?

O tems!... divinité terrible! ce n'est pas ta faux cruelle qui m'épouvante; je ne crains que tes hideux enfans: l'indifférence et l'oubli, qui font une longue mort des trois quarts de notre existence.

Hélas! ce zéphyr, ce regard, ce sourire sont aussi loin de moi que les aventures d'Ariane: il ne reste plus au fond de mon

cœur que des regrets et de vains souvenirs; triste mélange sur lequel ma vie surnage encore, comme un vaisseau fracassé par la tempête flotte quelque tems encore sur la mer agitée!... jusqu'à ce que, l'eau s'introduisant peu à peu entre les planches brisées, le malheureux vaisseau disparaisse englouti dans l'abîme. Les vagues le recouvrent, la tempête s'apaise, et l'hirondelle de mer rase la plaine solitaire et tranquille de l'océan.

CHAPITRE XXVII

Je me vois forcé de terminer ici l'explication de ma nouvelle méthode de faire l'amour, parce que je m'aperçois qu'elle tombe dans le noir. Il ne sera pas cependant hors de propos d'ajouter encore quelques éclaircissemens sur cette découverte, qui ne convient pas généralement à tout le monde ni à tous les âges. Je ne conseillerais à personne de la mettre en usage à vingt ans. L'inventeur lui-même n'en usait pas à cette époque de sa vie. Pour en tirer tout le parti possible, il faut avoir éprouvé tous les chagrins de la vie sans être découragé, et toutes les jouissances sans en être dégoûté. Point difficile! Elle est surtout utile à cet âge où la raison nous conseille de renoncer aux habitudes de la jeunesse, et peut servir d'intermédiaire et de passage insensible entre le plaisir et la sagesse. Ce passage, comme l'ont observé tous les moralistes, est très-difficile. Peu d'hommes ont le noble courage de le franchir galamment, et souvent, après avoir fait le pas, ils s'ennuient sur l'autre bord, et repassent le fossé en cheveux gris et à leur grande honte. C'est ce qu'ils éviteront sans peine par ma nouvelle manière de faire l'amour. En effet, la plupart de nos plaisirs n'étant autre chose qu'un jeu de l'imagination, il est essentiel de lui présenter une pâture innocente pour la détourner des objets auxquels nous devons renoncer, à peu près comme l'on présente des joujoux aux enfans, lorsqu'on leur refuse des bonbons. De cette manière on a le tems de s'affermir sur le terrain de la sagesse sans penser y être encore; et l'on y arrive par le chemin de la folie, ce qui en facilitera singulièrement l'accès à beaucoup de monde.

Je crois donc ne m'être point trompé dans l'espoir d'être utile qui m'a fait prendre la plume, et je n'ai plus qu'à me défendre du mouvement naturel d'amour-propre que je pourrais légitimement ressentir en dévoilant aux hommes de semblables vérités.

CHAPITRE XXVIII

Toutes ces confidences, ma chère Sophie, ne vous auront pas fait oublier, j'espère, la position gênante dans laquelle vous m'avez laissé sur ma fenêtre. L'émotion que m'avait causée l'aspect du joli pied de ma voisine durait encore, et j'étais plus que jamais retombé sous le charme dangereux de la pantoufle, lorsqu'un événement imprévu vint me tirer du péril où j'étais de me précipiter du cinquième étage dans la rue. Une chauve--souris qui rôdait autour de la maison, et qui, me voyant immobile depuis si long-tems, me prit apparemment pour une cheminée, vint tout-à-coup s'abattre sur moi et s'accrocher à mon oreille. Je sentis sur ma joue l'horrible fraîcheur de ses ailes humides. Tous les échos de Turin répondirent au cri furieux que je poussai malgré moi. Les sentinelles éloignées donnèrent le *qui vive*, et j'entendis dans la rue la marche précipitée d'une patrouille.

J'abandonnai sans beaucoup de peine la vue du balcon qui n'avait plus aucun attrait pour moi. Le froid de la nuit m'avait saisi. Un léger frisson me parcourut de la tête aux pieds, et, comme je croisais ma robe de chambre pour me réchauffer, je vis, à mon grand regret, que cette sensation de froid, jointe à l'insulte de la chauve-souris, avait suffi pour changer de nouveau le cours de mes idées. La pantoufle magique n'aurait pas eu dans ce moment plus d'influence sur moi que la chevelure de Bérénice, ou toute autre constellation. Je calculai tout de suite combien il était déraisonnable de passer la nuit exposé à l'intempérie de l'air, au lieu de suivre le vœu de la nature qui nous ordonne le sommeil. Ma raison qui, dans ce

moment, agissait seule en moi, me fit voir cela prouvé comme une proposition d'Euclide. Enfin, je fus tout-à- coup privé d'imagination et d'enthousiasme, et livré sans secours à la triste réalité. Existence déplorable! Autant vaudrait-il être un arbre sec dans une forêt, ou bien un obélisque au milieu d'une place!

Les deux étranges machines, m'écriai-je alors, que la tête et le cœur de l'homme! Emporté tour à tour par ces deux mobiles de ses actions, dans deux directions contraires, la dernière qu'il suit lui semble toujours la meilleure! O folie de l'enthousiasme et du sentiment! dit la froide raison; ô faiblesse et incertitude de la raison! dit le sentiment. Qui pourra jamais, qui osera décider entre eux?

Je pensai qu'il serait beau de traiter la question sur place, et de décider une bonne fois auquel de ces deux guides il convenait de me confier pour le reste de ma vie. Suivrai-je désormais ma tête ou mon cœur? Examinons.

CHAPITRE XXIX

En disant ces mots, je m'aperçus d'une douleur sourde dans celui de mes pieds qui reposait sur l'échelon. J'étais en outre très-fatigué de la position difficile que j'avais gardée jusqu'alors. Je me baissai doucement pour m'asseoir, et, laissant pendre mes jambes à droite et à gauche de la fenêtre, je commençai mon voyage à cheval. J'ai toujours préféré cette manière de voyager à toute autre, et j'aime passionnément les chevaux; cependant, de tous ceux que j'ai vus, ou dont j'ai pu entendre parler, celui dont j'aurais le plus ardemment désiré la possession est le cheval de bois dont il est parlé dans les *Mille et une Nuits*, sur lequel on pouvait voyager dans les airs, et qui partait comme l'éclair lorsqu'on tournait une petite cheville entre ses oreilles.

Or, l'on peut remarquer que ma monture ressemble beaucoup à celle des *Mille et une Nuits*. Par sa position, le voyageur à cheval sur sa fenêtre communique d'un côté avec le ciel, et jouit de l'imposant spectacle de la nature; les météores et les astres sont à sa disposition: de l'autre, l'aspect de sa demeure et les objets qu'elle contient le ramènent à l'idée de son existence, et le font rentrer en lui-même. Un seul mouvement de la tête remplace la cheville enchantée, et suffit pour opérer, dans l'ame du voyageur, un changement aussi rapide qu'extraordinaire. Tour à tour habitant de la terre et des cieux, son esprit et son cœur parcourent toutes les jouissances qu'il est donné à l'homme d'éprouver.

Je pressentis d'avance tout le parti que je pouvais tirer de ma monture. Lorsque je me sentis bien en selle et arrangé de mon mieux, certain de n'avoir rien à craindre des voleurs, ni

des faux pas de mon cheval, je crus l'occasion très-favorable pour me livrer à l'examen du problême que je devais résoudre, touchant la prééminence de la raison ou du sentiment. Mais la première réflexion que je fis à ce sujet m'arrêta tout court. Est-ce bien à moi de m'établir juge dans une semblable cause? me dis-je tout bas; à moi, qui, dans ma conscience, donne d'avance gain de cause au sentiment? Mais, d'autre part, si j'exclus les personnes dont le cœur l'emporte sur la tête, qui pourrai-je consulter? un géomètre? bah! ces gens-là sont vendus à la raison. Pour décider ce point, il faudrait trouver un homme qui eût reçu de la nature une égale dose de raison et de sentiment, et qu'au moment de la décision, ces deux facultés fussent parfaitement en équilibre… chose impossible! Il serait plus aisé d'équilibrer une république.

Le seul juge compétent serait donc celui qui n'aurait rien de commun ni avec l'un ni avec l'autre; un homme enfin sans tête et sans cœur. Cette étrange conséquence révolta ma raison; mon cœur, de son côté, protesta n'y avoir aucune part. Cependant il me semblait avoir raisonné juste, et j'aurais, à cette occasion, pris la plus mauvaise idée de mes facultés intellectuelles, si je n'avais réfléchi que, dans les spéculations de haute métaphysique, comme celle dont il est question, des philosophes du premier ordre ont été souvent conduits, par des raisonnemens suivis, à des conséquences affreuses qui ont influé sur le bonheur de la société humaine. Je me consolai donc, pensant que le résultat de mes spéculations ne ferait au moins de mal à personne. Je laissai la question indécise, et je résolus, pour le reste de mes jours, de suivre alternativement ma tête ou mon cœur, suivant que l'un des deux remporterait sur l'autre. Je crois, en effet, que c'est la meilleure méthode. Elle ne m'a pas fait faire, à la vérité, une grande fortune jusqu'ici, me disais-je. N'importe, je vais, descendant le sentier rapide de la vie, sans crainte et sans projets, en liant et en pleurant tour à tour, et souvent à la fois, ou bien en sifflant quelque vieux air

pour me désennuyer le long du chemin. D'autres fois, je cueille une marguerite dans le coin d'une haie; j'en arrache les feuilles les unes après les autres, en disant:

— Elle m'aime, un peu, beaucoup, passionnément, pas du tout.

La dernière amène presque toujours *pas du tout*. En effet, Élisa ne m'aime plus.

Tandis que je m'occupe ainsi, la génération entière des vivans passe: semblable à une immense vague, elle va bientôt se briser avec moi sur le rivage de l'éternité; et, comme si l'orage de la vie n'était pas assez impétueux, comme s'il nous poussait trop lentement aux barrières de l'existence, les nations en masse s'égorgent en courant, et préviennent le terme fixé par la nature. Des conquérans, entraînés eux-mêmes par le tourbillon rapide du tems, s'amusent à jeter des milliers d'hommes sur le carreau. Eh! messieurs, à quoi songez-vous? Attendez!... ces bonnes gens allaient mourir de leur belle mort. Ne voyez-vous pas la vague qui s'avance? elle écume déjà près du rivage... Attendez, au nom du ciel, encore un instant; et vous, et vos ennemis, et moi, et les marguerites, tout cela va finir! Peut-on s'étonner assez d'une semblable démence! Allons, c'est un point résolu; dorénavant, moi-même, je n'effeuillerai plus de marguerites.

CHAPITRE XXX

Après m'être fixé pour l'avenir une règle de conduite prudente, au moyen d'une logique lumineuse, comme on l'a vu dans les chapitres précédens, il me restait un point très-important à décider au sujet du voyage que j'allais entreprendre. Ce n'est pas tout, en effet, que de se placer en voiture ou à cheval, il faut encore savoir où l'on veut aller. J'étais si fatigué des recherches métaphysiques dont je venais de m'occuper, qu'avant de me décider sur la région du globe à laquelle je donnerais la préférence, je voulus me reposer quelque tems en ne pensant à rien. C'est une manière d'exister qui est aussi de mon invention, et qui m'a souvent été d'un grand avantage; mais il n'est pas accordé à tout le monde de savoir en user: car, s'il est aisé de donner de la profondeur à ses idées en s'occupant fortement d'un sujet, il ne l'est point autant d'arrêter tout-à-coup sa pensée comme l'on arrête le balancier d'une pendule. Molière a fort mal à propos tourné en ridicule un homme qui s'amusait à faire des ronds dans un puits: je serais, quant à moi, très-porté à croire que cet homme était un philosophe qui avait le pouvoir de suspendre l'action de son intelligence pour se reposer, opération des plus difficiles que puisse exécuter l'esprit humain. Je sais que les personnes qui ont reçu cette faculté sans l'avoir désirée, et qui ne pensent ordinairement à rien, m'accuseront de plagiat et réclameront la priorité d'invention; mais l'état d'immobilité intellectuelle dont je veux parler est tout autre que celui dont ils jouissent, et dont M. Necker a fait l'apologie. Le mien est toujours volontaire et ne peut être que momentané: pour en jouir dans toute sa plénitude, je fermai les

yeux en m'appuyant des deux mains sur la fenêtre, comme un cavalier fatigué s'appuie sur le pommeau de sa selle, et bientôt le souvenir du passé, le sentiment du présent et la prévoyance de l'avenir s'anéantirent dans mon ame.

Comme ce mode d'existence favorise puissamment l'invasion du sommeil, après une demi-minute de jouissance, je sentis que ma tête tombait sur ma poitrine: j'ouvris à l'instant mes yeux, et mes idées reprirent leur cours; circonstance qui prouve évidemment que l'espèce de léthargie volontaire dont il s'agit est bien différente du sommeil, puisque je fus éveillé par le sommeil lui-même: accident qui n'est certainement jamais arrivé à personne.

En élevant mes regards vers le ciel, j'aperçus l'étoile polaire sur le faîte de la maison, ce qui me parut d'un bien bon augure au moment où j'allais entreprendre un long voyage. Pendant l'intervalle de repos dont je venais de jouir, mon imagination avait repris toute sa force, et mon cœur était prêt à recevoir les plus douces impressions; tant ce passager anéantissement de la pensée peut augmenter son énergie! Le fond de chagrin que ma situation précaire dans le monde me faisait sourdement éprouver fut remplacé tout-à-coup par un sentiment vif d'espérance et de courage; je me sentis capable d'affronter la vie et toutes les chances d'infortune ou de bonheur qu'elle traîne après elle.

— Astre brillant! m'écriai-je dans l'extase délicieuse qui me ravissait, incompréhensible production de l'éternelle pensée! toi qui seul, immobile dans les cieux, veilles depuis le jour de la création sur une moitié de la terre! toi qui diriges le navigateur sur les déserts de l'océan, et dont un seul regard a souvent rendu l'espoir et la vie au matelot pressé par la tempête! si jamais, lorsqu'une nuit sereine m'a permis de contempler le ciel, je n'ai manqué de te chercher parmi tes compagnes, assiste-moi, lumière céleste! Hélas! la terre m'abandonne: sois aujourd'hui mon conseil et mon guide; apprends-moi quelle est la région du globe où je dois me fixer!

Pendant cette invocation, l'étoile semblait rayonner plus vivement et se réjouir dans le ciel en m'invitant à me rapprocher de son influence protectrice.

Je ne crois point aux pressentimens, mais je crois à une providence divine qui conduit les hommes par des moyens inconnus. Chaque instant de notre existence est une création nouvelle, un acte de la toute-puissante volonté. L'ordre inconstant qui produit les formes toujours nouvelles et les phénomènes inexplicables des nuages, est déterminé pour chaque instant jusque dans la moindre parcelle d'eau qui les compose: les événemens de notre vie ne sauraient avoir d'autre cause, et les attribuer au hasard serait le comble de la folie. Je puis même assurer qu'il m'est quelquefois arrivé d'entrevoir les fils imperceptibles avec lesquels la Providence fait agir les plus grands hommes comme des marionnettes, tandis qu'ils s'imaginent conduire le monde; un petit mouvement d'orgueil qu'elle leur souffle dans le cœur suffit pour faire périr des armées entières, et pour retourner une nation sens dessus dessous. Quoi qu'il en soit, je croyais si fermement à la réalité de l'invitation que j'avais reçue de l'étoile polaire, que mon parti fut pris à l'instant même d'aller vers le nord, et, quoique je n'eusse dans ces régions éloignées aucun point de préférence ni aucun but déterminé, lorsque je partis de Turin le jour suivant, je sortis par la porte *Palais*, qui est au nord de la ville, persuadé que l'étoile polaire ne m'abandonnerait pas.

CHAPITRE XXXI

J'en étais là de mon voyage, lorsque je fus obligé de descendre précipitamment de cheval. Je n'aurais pas tenu compte de cette particularité, si je ne devais en conscience instruire les personnes qui voudraient adopter cette manière de voyager, des petits inconvéniens qu'elle présente, après leur en avoir exposé les immenses avantages.

Les fenêtres, en général, n'ayant pas été primitivement inventées pour la nouvelle destination que je leur ai donnée, les architectes qui les construisent négligent de leur donner la forme commode et arrondie d'une selle anglaise. Le lecteur intelligent comprendra, je l'espère, sans autre explication, la cause douloureuse qui me força de faire une halte. Je descendis assez péniblement, et je fis quelques tours à pied dans la longueur de ma chambre pour me dégourdir, en réfléchissant sur le mélange de peines et de plaisirs dont la vie est parsemée, ainsi que sur l'espèce de fatalité qui rend les hommes esclaves des circonstances les plus insignifiantes. Après quoi je m'empressai de remonter à cheval muni d'un coussin d'édredon: ce que je n'aurais pas osé faire quelques jours auparavant, de crainte d'être hué par la cavalerie; mais, ayant rencontré la veille aux portes de Turin un parti de cosaques qui arrivaient sur de semblables coussins, des bords des Palus-Méotides et de la mer Caspienne, je crus, sans déroger aux lois de l'équitation que je respecte beaucoup, pouvoir adopter le même usage.

Délivré de la sensation désagréable que j'ai laissé deviner, je pus m'occuper sans inquiétude de mon plan de voyage.

Une des difficultés qui me tracassait le plus, parce qu'elle tenait à ma conscience, était de savoir si je faisais bien ou mal

d'abandonner ma patrie, dont la moitié m'avait elle-même abandonné. Une semblable démarche me semblait trop importante pour m'y décider légèrement. En réfléchissant sur ce mot de patrie, je m'aperçus que je n'en avais pas une idée bien claire.

— Ma patrie? En quoi consiste la patrie? Serait-ce un assemblage de maisons, de champs, de rivières? Je ne saurais le croire. C'est peut-être ma famille, mes amis qui constituent ma patrie? mais ils l'ont déjà quittée. Ah! m'y voila, c'est le gouvernement? mais il est change. Bon Dieu! où donc est ma patrie?

Je passai la main sur mon front dans un état d'inquiétude inexprimable. L'amour de la patrie est tellement énergique! Les regrets que j'éprouvais moi-même, à la seule pensée d'abandonner la mienne, m'en prouvaient si bien la réalité, que je serais resté à cheval toute ma vie, plutôt que de désemparer avant d'avoir coulé à fond cette difficulté.

Je vis bientôt que l'amour de la patrie dépend de plusieurs élémens réunis, c'est-à-dire de la longue habitude que prend l'homme, depuis son enfance, des individus, de la localité et du gouvernement. Il ne s'agissait plus que d'examiner en quoi ces trois bases contribuent, chacune pour leur part, à constituer la patrie.

L'attachement à nos compatriotes, en général, dépend du gouvernement et n'est autre chose que le sentiment de la force et du bonheur qu'il nous donne en commun; car le véritable attachement se borne à la famille et à un petit nombre d'individus dont nous sommes environnés immédiatement. Tout ce qui rompt l'habitude ou la facilité de se rencontrer rend les hommes ennemis: une chaîne de montagnes forme de part et d'autre des ultra-montains qui ne s'aiment pas; les habitans de la rive droite d'un fleuve se croient fort supérieurs à ceux de la rive gauche, et ceux-ci se moquent à leur tour de leurs voisins. Cette disposition se remarque jusque dans les grandes villes partagées par un fleuve, malgré les ponts qui réunissent

ses bords. La différence du langage éloigne bien davantage encore les hommes du même gouvernement: enfin la famille elle-même, dans laquelle réside notre véritable affection, est souvent dispersée dans la patrie; elle change continuellement dans la forme et dans le nombre: en outre, elle peut être transportée. Ce n'est donc ni dans nos compatriotes, ni dans notre famille que réside absolument l'amour de la patrie.

La localité contribue pour le moins autant à l'attachement que nous portons à notre pays natal. Il se présente à ce sujet une question fort intéressante: on a remarqué de tout tems que les montagnards sont, de tous les peuples, ceux qui sont le plus attachés à leur pays, et que les peuples nomades habitent en général les grandes plaines. Quelle peut être la cause de cette différence dans l'attachement de ces peuples à la localité? Si je ne me trompe, la voici: dans les montagnes, la patrie a une physionomie; dans les plaines, elle n'en a point. C'est une femme sans visage qu'on ne saurait aimer, malgré toutes ses bonnes qualités. Que reste-t-il en effet de sa patrie locale à l'habitant d'un village de bois, lorsqu'après le passage de l'ennemi le village est brûlé et les arbres coupés? Le malheureux cherche en vain, dans la ligne uniforme de l'horizon, quelque objet connu qui puisse lui donner des souvenirs: il n'en existe aucun. Chaque point de l'espace lui présente le même aspect et le même intérêt. Cet homme est nomade par le fait, à moins que l'habitude du gouvernement ne le retienne; mais son habitation sera ici ou là, n'importe; sa patrie est partout où le gouvernement a son action: il n'aura qu'une demi-patrie. Le montagnard s'attache aux objets qu'il a sous les yeux depuis son enfance, et qui ont des formes visibles et indestructibles: de tous les points de la vallée, il voit et reconnaît son champ sur le penchant de la côte. Le bruit du torrent qui bouillonne entre les rochers n'est jamais interrompu; le sentier qui conduit au village se détourne auprès d'un bloc immuable de granit. Il voit en songe le contour des montagnes qui est peint dans son

cœur, comme, après avoir regardé long-tems les vitraux d'une fenêtre, on les voit encore en fermant les yeux: le tableau gravé dans sa mémoire fait partie de lui-même et ne s'efface jamais. Enfin, les souvenirs eux-mêmes se rattachent à la localité; mais il faut qu'elle ait des objets dont l'origine soit ignorée, et dont on ne puisse prévoir la fin. Les anciens édifices, les vieux ponts, tout ce qui porte le caractère de grandeur et de longue durée, remplace en partie les montagnes dans l'affection des localités: cependant les monumens de la nature ont plus de puissance sur le cœur. Pour donner à Rome un surnom digne d'elle, les orgueilleux Romains l'appelèrent *la ville aux sept collines*. L'habitude prise ne peut jamais être détruite. Le montagnard, à l'âge mûr, ne s'affectionne plus aux localités d'une grande ville, et l'habitant des villes ne saurait devenir un montagnard. De là vient peut-être qu'un des plus grands écrivains de nos jours, qui a peint avec génie les déserts de l'Amérique, a trouvé les Alpes mesquines, et le Mont-Blanc considérablement trop petit.

La part du gouvernement est évidente: il est la première base de la patrie. C'est lui qui produit l'attachement réciproque des hommes, et qui rend plus énergique celui qu'ils portent naturellement à la localité; lui seul, par des souvenirs de bonheur ou de gloire, peut les attacher au sol qui les a vus naître.

Le gouvernement est-il bon? la patrie est dans toute sa force; devient-il vicieux? la patrie est malade; change-t-il? elle meurt. C'est alors une nouvelle patrie, et chacun est le maître de l'adopter ou d'en choisir une autre.

Lorsque toute la population d'Athènes quitta cette ville sur la foi de Thémistocle, les Athéniens abandonnèrent-ils leur patrie, ou l'emportèrent-ils avec eux sur leurs vaisseaux?

Lorsque Coriolan...

Bon Dieu! dans quelle discussion me suis-je engagé! j'oublie que je suis à cheval sur ma fenêtre.

CHAPITRE XXXII

J'avais une vieille parente de beaucoup d'esprit, dont la conversation était des plus intéressantes; mais sa mémoire, à la fois inconstante et fertile, la faisait passer souvent d'épisodes en épisodes, et de digressions en digressions, au point qu'elle était obligée d'implorer le secours de ses auditeurs:

— Que voulais-je donc vous raconter? — disait-elle, et souvent aussi ses auditeurs l'avaient oublié, ce qui jetait toute la société dans un embarras inexprimable. Or, l'on a pu remarquer que le même accident m'arrive souvent dans mes narrations, et je dois convenir en effet que le plan et l'ordre de mon voyage sont exactement calqués sur l'ordre et le plan des conversations de ma tante; mais je ne demande main-forte à personne, parce que je me suis aperçu que mon sujet revient de lui-même, et au moment où je m'y attends le moins.

CHAPITRE XXXIII

Les personnes qui n'approuveront pas ma dissertation sur la patrie doivent être prévenues que, depuis quelque tems, le sommeil s'emparait de moi, malgré les efforts que je faisais pour le combattre. Cependant je ne suis pas bien sûr maintenant si je m'endormis alors tout de bon, et si les choses extraordinaires que je vais raconter furent l'effet d'un rêve ou d'une vision surnaturelle.

Je vis descendre du ciel un nuage brillant qui s'approchait de moi peu à peu, et qui recouvrait, comme d'un voile transparent, une jeune personne de vingt-deux à vingt-trois ans. Je chercherais vainement des expressions pour décrire le sentiment que son aspect me fit éprouver. Sa physionomie, rayonnante de bonté et de bienveillance, avait le charme des illusions de la jeunesse, et était douce comme les rêves de l'avenir; son regard, son paisible sourire, tous ses traits, enfin, réalisaient à mes yeux l'être idéal que cherchait mon cœur depuis si long-tems, et que j'avais désespéré de rencontrer jamais.

Tandis que je la contemplais dans une extase délicieuse, je vis briller l'étoile polaire entre les boucles de sa chevelure noire, que soulevait le vent du nord, et au même instant des paroles consolatrices se firent entendre. Que dis-je? des paroles! c'était l'expression mystérieuse de la pensée céleste qui dévoilait l'avenir à mon intelligence, tandis que mes sens étaient enchaînés par le sommeil; c'était une communication prophétique de l'astre favorable que je venais d'invoquer, et dont je vais tâcher d'exprimer le sens dans une langue humaine.

— Ta confiance en moi ne sera point trompée, disait une voix dont le timbre ressemblait au son des harpes éoliennes. Regarde, voici la compagne que je t'ai réservée; voici le bien auquel aspirent vainement les hommes qui pensent que le bonheur est un calcul; et qui demandent à la terre ce qu'on ne peut obtenir que du ciel.

A ces mots, le météore rentra dans la profondeur des cieux; l'aérienne divinité se perdit dans les brumes de l'horizon; mais, en s'éloignant, elle jeta sur moi des regards qui remplirent mon cœur de confiance et d'espoir.

Aussitôt, brûlant de la suivre, je piquai des deux de toute ma force; et, comme j'avais oublié de mettre des éperons, je frappai du talon droit contre l'angle d'une tuile, avec tant de violence, que la douleur me réveilla en sursaut.

CHAPITRE XXXIV

Cet accident fut d'un avantage réel pour la partie géologique de mon voyage, parce qu'il me donna l'occasion de connaître exactement la hauteur de ma chambre, au-dessus des couches d'alluvion qui forment le sol sur lequel est bâtie la ville de Turin.

Mon cœur palpitait fortement, et je venais d'en compter trois battemens et demi, depuis l'instant où j'avais piqué mon cheval, lorsque j'entendis le bruit de ma pantoufle qui était tombée dans la rue, ce qui, calcul fait du tems que mettent les corps graves dans leur chute accélérée, et de celui qu'avaient employé les ondulations sonores de l'air pour venir de la rue à mon oreille, détermine la hauteur de ma fenêtre à quatre--vingt-quatorze pieds, trois lignes et neuf dixièmes de ligne, depuis le niveau du pavé de Turin, en supposant que mon cœur, agité par le rêve, battait cent vingt fois par minute, ce qui ne peut être très-éloigné de la vérité. Ce n'est que sous le rapport de la science, qu'après avoir parlé de la pantoufle intéressante de ma belle voisine j'ai osé faire mention de la mienne: aussi je préviens que ce chapitre n'est absolument fait que pour les savans.

CHAPITRE XXXV

La brillante vision dont je venais de jouir me fit sentir plus vivement, à mon réveil, toute l'horreur de l'isolement dans lequel je me trouvais. Je promenai mes regards autour de moi, et je ne vis plus que des toits et des cheminées. Hélas! suspendu au cinquième étage entre le ciel et la terre, environné d'un océan de regrets, de désirs et d'inquiétudes, je ne tenais plus à l'existence que par une lueur incertaine d'espoir: appui fantastique, dont j'avais éprouvé trop souvent la fragilité. Le doute rentra bientôt dans mon cœur, encore tout meurtri des mécomptes de la vie, et je crus fermement que l'étoile polaire s'était moquée de moi. Injuste et coupable défiance, dont l'astre m'a puni par dix ans d'attente! Oh! si j'avais pu prévoir alors que toutes ces promesses seraient accomplies, et que je retrouverais un jour sur la terre l'être adoré dont je n'avais fait qu'entrevoir l'image dans le ciel! Chère Sophie, si j'avais su que mon bonheur surpasserait toutes mes espérances!... Mais il ne faut pas anticiper sur les événemens: je reviens à mon sujet, ne voulant pas intervertir l'ordre méthodique et sévère auquel je me suis assujetti dans la rédaction de mon voyage.

CHAPITRE XXXVI

L'horloge du clocher de Saint-Philippe sonna lentement minuit. Je comptai l'un après l'autre chaque tintement de la cloche, et le dernier m'arracha un soupir.

— Voilà donc, me dis-je, un jour qui vient se détacher de ma vie, et, quoique les vibrations décroissantes du son de l'airain frémissent encore à mon oreille, la partie de mon voyage qui a précédé minuit est déjà tout aussi loin de moi que le voyage d'Ulysse ou celui de Jason. Dans cet abîme du passé, les instans et les siècles ont la même longueur; et l'avenir a-t-il plus de réalité?

Ce sont deux néants entre lesquels je me trouve en équilibre, comme sur le tranchant d'une lame. En vérité, le tems me paraît quelque chose de si inconcevable, que je serais tenté de croire qu'il n'existe réellement pas, et que ce qu'on nomme ainsi n'est autre chose qu'une punition de la pensée.

Je me réjouissais d'avoir trouvé cette définition du tems aussi ténébreuse que le tems lui-même, lorsqu'une autre horloge sonna minuit, ce qui me donna un sentiment désagréable. Il me reste toujours un fond d'humeur lorsque je me suis inutilement occupé d'un problême insoluble, et je trouvai fort déplacé ce second avertissement de la cloche à un philosophe comme moi. Mais j'éprouvai décidément un véritable dépit quelques secondes après, lorsque j'entendis de loin une troisième cloche, celle du couvent des capucins situé sur l'autre rive du Pô, sonner encore minuit comme par malice.

Lorsque ma tante appelait une ancienne femme de chambre, un peu revêche, qu'elle affectionnait cependant beaucoup, elle

ne se contentait pas, dans son impatience, de sonner une fois, mais elle tirait sans relâche le cordon de la sonnette jusqu'à ce que la suivante parût.

— Arrivez donc, Mlle Branchet! — et celle-ci, fâchée de se voir presser ainsi, venait tout doucement, et répondait, avec beaucoup d'aigreur, avant d'entrer au salon:

— On y va, madame, on y va.

Tel fut aussi le sentiment d'humeur que j'éprouvai lorsque j'entendis la cloche indiscrète des capucins sonner minuit pour la troisième fois. Je le sais, m'écriai-je, en étendant les mains du côté de l'horloge; oui, je le sais, je sais qu'il est minuit: je ne le sais que trop.

C'est, il n'en faut pas douter, par un conseil insidieux de l'esprit malin, que les hommes ont chargé cette heure de diviser leurs jours. Renfermés dans leurs habitations, ils dorment ou s'amusent, tandis qu'elle coupe un des fils de leur existence: le lendemain ils se lèvent gaîment, sans se douter le moins du monde qu'ils ont un jour de plus. En vain la voix prophétique de l'airain leur annonce l'approche de l'éternité, en vain elle leur répète tristement chaque heure qui vient de s'écouler, ils n'entendent rien; ou, s'ils entendent, ils ne comprennent pas. O minuit!... heure terrible!... Je ne suis pas superstitieux, mais cette heure m'inspira toujours une espèce de crainte, et j'ai le pressentiment que, si jamais je venais à mourir, ce serait à minuit. Je mourrai donc un jour? Comment! je mourrai? moi qui parle, moi qui me sens et qui me touche, je pourrais mourir? J'ai quelque peine à le croire: car enfin, que les autres meurent, rien n'est plus naturel; on voit cela tous les jours: on les voit passer, on s'y habitue; mais mourir soi-même! mourir en personne! c'est un peu fort. Et vous, messieurs, qui prenez ces réflexions pour du galimatias, apprenez que telle est la manière de penser de tout le monde, et la vôtre à vous-mêmes. Personne ne songe qu'il doit mourir. S'il existait une race d'hommes immortels, l'idée de la mort les effraierait plus que nous.

Il y a là-dedans quelque chose que je ne m'explique pas. Comment se fait-il que les hommes, sans cesse agités par l'espérance et par les chimères de l'avenir, s'inquiètent si peu de ce que cet avenir leur offre de certain et d'inévitable? Ne serait-ce point la nature bienfaisante elle-même qui nous aurait donné cette heureuse insouciance, afin que nous puissions remplir en paix notre destinée? Je crois en effet que l'on peut être fort honnête homme sans ajouter, aux maux réels de la vie, cette tournure d'esprit qui porte aux réflexions lugubres, et sans se troubler l'imagination par de noirs fantômes. Enfin, je pense qu'il faut se permettre de rire, ou du moins de sourire, toutes les fois que l'occasion innocente s'en présente.

Ainsi finit la méditation que m'avait inspirée l'horloge de Saint-Philippe. Je l'aurais poussée plus loin, s'il ne m'était survenu quelque scrupule sur la sévérité de la morale que je venais d'établir. Mais, ne voulant pas approfondir ce doute, je sifflai l'air des *Folies d'Espagne*; qui a la propriété de changer le cours de mes idées, lorsqu'elles s'acheminent mal. L'effet en fut si prompt que je terminai sur-le-champ ma promenade à cheval.

CHAPITRE XXXVII

Avant de rentrer dans ma chambre, je jetai un coup d'œil sur la ville et la campagne sombre de Turin, que j'allais quitter peut-être pour toujours, et je leur adressai mes derniers adieux. Jamais la nuit ne m'avait paru si belle; jamais le spectacle que j'avais sous les yeux ne m'avait intéressé si vivement. Après avoir salué la montagne et le temple de Supergue, je pris congé des tours, des clochers, de tous les objets connus que je n'aurais jamais cru pouvoir regretter avec tant de force, et de l'air et du ciel, et du fleuve dont le sourd murmure semblait répondre à mes adieux. Oh! si je savais peindre le sentiment tendre et cruel à la fois, qui remplissait mon cœur, et tous les souvenirs de la plus belle moitié de ma vie écoulée, qui se pressaient autour de moi, comme des farfadets, pour me retenir à Turin! Mais, hélas! les souvenirs du bonheur passé sont les rides de l'ame! Lorsqu'on est malheureux, il faut les chasser de sa pensée comme des fantômes moqueurs qui viennent insulter à notre situation présente: il vaut mille fois mieux alors s'abandonner aux illusions trompeuses de l'espérance, et surtout il faut faire bonne mine à mauvais jeu, et se bien garder de mettre personne dans la confidence de ses malheurs. J'ai remarqué, dans les voyages ordinaires que j'ai faits parmi les hommes, qu'a force d'être malheureux on finit par devenir ridicule. Dans ces momens affreux rien n'est plus convenable que la nouvelle manière de voyager dont on vient de lire la description. J'en fis alors une expérience décisive; non-seulement je parvins à oublier le passé, mais encore à prendre bravement mon parti sur mes peines présentes. Le tems les emportera, me dis-je pour

me consoler; il prend tout et n'oublie rien en passant, et soit que nous voulions l'arrêter, soit que nous le poussions, comme on dit, avec l'épaule, nos efforts sont également vains, et ne changent rien à son cours invariable. Quoique je m'inquiète en général très-peu de sa rapidité, il est telle circonstance, telle filiation d'idées qui me la rappellent d'une manière frappante. C'est lorsque les hommes se taisent, lorsque le démon du bruit est muet au milieu de son temple, au milieu d'une ville endormie, c'est alors que le tems élève sa voix et se fait entendre à mon ame. Le silence et l'obscurité deviennent ses interprètes et me dévoilent sa marche mystérieuse; ce n'est plus un être de raison que ne peut saisir ma pensée: mes sens eux-mêmes l'aperçoivent. Je le vois dans le ciel qui chasse devant lui les étoiles vers l'occident. Le voilà qui pousse les fleuves à la mer, et qui roule avec les brouillards le long de la colline... J'écoute: les vents gémissent sous l'effort de ses ailes rapides, et la cloche lointaine frémit à son terrible passage.

Profitons, profitons de sa course, m'écriai-je. Je veux employer utilement les instans qu'il va m'enlever. Voulant tirer parti de cette bonne résolution, à l'instant même je me penchai en avant pour m'élancer courageusement dans la carrière, en faisant avec la langue un certain claquement qui fut destiné de tout tems à pousser les chevaux, mais qu'il est impossible d'écrire selon les règles de l'orthographe:

gh! gh! gh!

et je terminai mon excursion à cheval par une galopade.

CHAPITRE XXXVIII

Je soulevais mon pied droit pour descendre, lorsque je me sentis frapper assez rudement sur l'épaule. Dire que je ne fus point effrayé de cet accident serait trahir la vérité, et c'est ici l'occasion de faire observer au lecteur et de lui prouver, sans trop de vanité, combien il serait difficile, à tout autre qu'à moi, d'exécuter un semblable voyage. En supposant au nouveau voyageur mille fois plus de moyens et de talens pour l'observation que je n'en puis avoir, pourrait-il se flatter de rencontrer des aventures aussi singulières, aussi nombreuses que celles qui me sont arrivées dans l'espace de quatre heures, et qui tiennent évidemment à ma destinée? Si quelqu'un en doute, qu'il essaie de deviner qui m'avait frappé!

Dans le premier moment de mon trouble, ne réfléchissant pas à la situation dans laquelle je me trouvais, je crus que mon cheval avait rué ou qu'il m'avait cogné contre un arbre. Dieu sait combien d'idées funestes se présentèrent à moi pendant le court espace de tems que je mis à tourner la tête pour regarder dans ma chambre. Je vis alors, comme il arrive souvent dans les choses qui paraissent le plus extraordinaires, que la cause de ma surprise était toute naturelle. La même bouffée de vent qui, dans le commencement de mon voyage, avait ouvert ma fenêtre et fermé ma porte en passant, et dont une partie s'était glissée entre les rideaux de mon lit, rentrait alors dans ma chambre avec fracas. Elle ouvrit brusquement la porte et sortit par la fenêtre, en poussant le vitrage contre mon épaule; ce qui me causa la surprise dont je viens de parler.

On se rappellera que c'était à l'invitation que m'avait apportée ce coup de vent que j'avais quitté mon lit. La secousse que je venais de recevoir était bien évidemment une invitation d'y rentrer, à laquelle je me crus obligé de me rendre.

Il est beau sans doute d'être ainsi dans une relation familière avec la nuit, le ciel et les météores, et de savoir tirer parti de leur influence. Ah! les relations qu'on est forcé d'avoir avec les hommes sont bien plus dangereuses! Combien de fois n'ai-je pas été la dupe de ma confiance en ces messieurs! J'en disais même ici quelque chose dans une note que j'ai supprimée parce qu'elle s'est trouvée plus longue que le texte entier, ce qui aurait altéré les justes proportions de mon voyage, dont le petit volume est le plus grand mérite.

Fin *DE L'EXPÉDITION NOCTURNE*
AUTOUR DE MA CHAMBRE.

BIBLIOGRAFIA

Dzieła Xaviera de Maistre'a

Powieści:

Expédition Nocturne Autour de ma Chambre, Sankt Petersburg 1825.
La Jeune Sibérienne, Sankt Petersburg 1825.
Le Lépreux de la Cité d'Aoste, Sankt Petersburg 1811. Dwa wydania polskie: *Trędowaty z miasta Aosty*, J.F. Burzyński, Wilno 1816 i 1830.
Les Prisonniers du Caucase, Sankt Petersburg1825.
Voyage autour de ma chambre, Lausanne 1795. Wydanie polskie: *Podróż dookoła mojego pokoju*, tłum. K. Mrówka, Kraków 2014.

Listy:

Lettres à sa famille, t. 1–4, opracowanie Gabriel de Maistre, Clermont-Ferrand 2005.

SPIS TREŚCI